Nr. 12. Rok I.

We Lwowie 16. Grudnia 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: 12 zł. — na prowincji: 13 zł.

„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie 1 zł. 10 ct. w miejscu, a 1 zł. 15 ct. na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

KAZIMIERZ LEWICKI

Główny skład dla Galicyi

Szkła, Porcelany
i
towarów mięszanych

we Lwowie, ulica Trybunalska l 6..

założony w r. 1845.

Kompletne SERWISA herbaciane i stołowe, z porcelany i szkła w różnych najmodniejszych formach i deseniach. Garnitury do umywalni ze ztołami żelaznemi.
Wyroby z CHIŃSKIEGO SREBRA, łyżki, łyżeczki noże i widelce stołowe i deserowe.
CZAJNIKI z metalu.
NOŻE i WIDELCE stołowe i deserowe z fabryk angielskich i styryjskich.
NOŻE kuchenne paryskie „Sabatier."
TACE z lakierowanej blachy w rożnych wielkościach i różnych formach.
TACE drewniane z orzechowego lub czarnego drzewa z rączkami z chińskiego srebra.
TACE metalowe z alpaki dla restaureatorów.
LAMPY R. Dittmara i wszelkie przybory do lamp, umbry, cylindry i gnoty.
SZYBY do okien, oraz przedsiębiorstwo oszklania. — DYAMENTA szklarskie do przecinania szyb.
MUSZLE morskie do pasztetów. — KIT szklarski do okien i do podłogi.
KLEJ do porcelany, flaszka 40 ct. — ZAPAŁKI szwedzkie 1 pakiet zawierający 10 pudełek 7 ct.
WYKŁOWACZE do zębów 100 buncików 50 ct.

!ZMIANA LOKALU!

Mam zaszczyt zawiadomić Szananowną P. T. Publiczność, iż istniejącą od lat 12. przy ulicy Kopernika liczba 10

pod firmą:

Z. WOJCIECHOWSKI
PRACOWNIĘ RYTOWNICZĄ

przeniosłem z dniem dzisiejszym do sklepu

Ulica Jagiellońska liczba 6.

Donosząc o tej zmianie lokalu, ośmielam się i nadal zakład mój polecić łaskawym względom Szanownej P. T. Publiczności, na co zasługiwać sumiennie jak dotąd i w przyszłości usilnem staraniem mojem będzie.

Lwów dnia 20 Listopada 1882.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI
rytownik.

Skład futer
B. SZARKIEWICZA

we Lwowie

ulica Wałowa liczba 3,

(dom W. Wieczyńskiego)

poleca swój

SKŁAD FUTER

zaopatrzony we wszelkie gatunki jakie tylko w zakres tego handlu wchodzić mogą.

Wszelkie zamówienia tak miejscowe jak na prowincję jak najspiesznie się wykonują.

Dziękując za dotychczasowe względy, proszę Szan P. T. Publiczność o dalsze zaufanie.

Nr. 12. We Lwowie dnia 15. Grudnia 1882. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“

W miejscu	rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„	kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„	miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Reklama.

Piśmiennictwo nasze perjodyczne, mimo wszelkich wad zarzucanych mu słusznie i niesłusznie, wcale jest dobroduszne. Gdzie indziej pozyskanie tego lub owego organu prasy, połączone jest z zachodami i kosztami — a u nas najczęściej wystarcza dobre słowo, nawiązanie przyjacielskich stosunków, i drobne wpływy zakulisowe. Są wyjątki, ale o tych należałoby mówić w artykule zatytułowanym, „Sprzedajność“... To cośmy powiedzieli, ujawnia się najdobitn,ej w t. z. reklamie, w robieniu rozgłosu tej lub owej osobie, temu lub owemu dziełu, bez poprzedniego krytycznego zbadania, albo też wręcz temu, czy w ogóle na to zasługują.

Weźmy przykład. Przyjedzie jakiś koncertant, o którego muzykalnych zdolnościach nic świat nie wie; „rzuca się“ jak to mówią „we frak“, przychodzi do tej lub owej redakcji, kłania się nisko, wygłasza kilka banalnych komplementów — i oto nazajutrz czytamy: „Pan X. nader utalentowany i sympatyczny wirtuoz, który z najświetniejszem powodzeniem koncertował we wszystkich znaczniejszych miastach Europy i Nowego Świata, przyjechał do naszego grodu i wystąpi z koncertem. Spodziewamy się, że muzykalna nasza publiczność pospieszy tłumnie na koncert p. X. aby podziwiać grę jego, pełną wysokich artystycznych zalet. Program koncertu zawiera kilka wyborowych numerów“...

Nadszedł koncert i pokazało się, że p. X. rzępoli niemiłosiernie, wyszło dalej na jaw, że owe wielkie miasta europejskie, w których występował, nazywają si Tarnopol i Kołomyja — ale cel został osiągnięty. Sala była nabita, a wśród sykań dawały się słyszeć oklaski.

Inny przykład. P. Y. napisał zbiorek wierszy od siedmiu boleści, zatytułowanych „Jęki i dźwięki“ czyli „Dumania przed zgonem“. Rozumie się, że egzemplarze opatrzone stosowną dedykacją, rozesłał do wszystkich redakcyj. Żaden z dziennikarzy nie wziął do ręki tej zdumiewająco zajmującej publikacji, mimo to za protekcją pana Z., który zna cioteczną siostrę pewnego recenzenta, pojawiła się w dziennikach następująca notatka: „Na ubożuchnej niwie naszej poezji, osieroconej przez wielkich mistrzów słowa, wystrzelił w tych dniach kwiatek świeży a bujny, o barwach tęczy i czarownej woni. Domyślą się czytelnicy, że mamy tu na myśli zbiorek poezyj p. Y. pod skromnym, a tak ponętnym tytułem „Jęki i Dźwięki“. Było prawdziwą klęską dla naszej literatury, że p. Y. tak długo trzymał w tece swoje utwory, że tak długo jak skąpiec, ukrywał swój talent przed wiadomością ogółu. To jedno tylko mamy mu do zarzucenia; ale przebaczamy mu ten błąd, będący wypływem młodzieńczej skromności. Utwory poetyckie zamieszczone w zbiorku, którego tytuł podaliśmy powyżej, odznaczają się świeżością myśli, prześlicznym językiem, wybornem obrazowaniem, patrjotycznem ciepłem, i wysoko nastrojonem uczuciem. Do najlepszych utworów zaliczamy sentymentalny wierszyk p. t. „Skacząca żabka“ „Umierający Filon“ i „Rozmowa róży polnej z harbuzem“. Spodziewamy się, że p. Y. który już tym zbiorkiem stanął w rzędzie wybitnych naszych wieszczów, niedługo nam każe czekać na nowe płody swej niewinnej Muzy“...

P. Y. przeczytawszy tę reklamę zbzikował in puncto poezji, a choć ma wielki talent do kaligraficznego odpisywania odezw sądowych. nic nie robi, tylko pisze dalej „Dumania przed zgonem,“ a kilku ludzi, którzy kupili jego wiersze, na polecenie przytoczonej recenzji, klną go na czem świat stoi, za wyrzucone za okno pieniądze.

Wypada nam jeszcze pomówić o innego rodzaju reklamach. Są to reklamy, robione

przez ludzi zajmujących wybitne w literaturze stanowisko, a nadużywających w tym kierunku wyrobionej swej reputacji. Znaliśmy tu we Lwowie pewnego głośnego pisarza, który z czystej dobroduszności chwalił i wynosił pod niebiosa każdego, który się tylko pięknym ukłonem lub zręcznym komplementem o to postarał. To też w krótkim czasie napłodził on w Galicji tylu „wielkich ludzi,“ że się między nimi trudno było przecisnąć. Albo nasz dostojny jubilat? Niech n. p. „Samorząd“ wystosuje list do niego, a natychmiast otrzyma odpowiedź, której nie omieszka wydrukować, mniej więcej takowej treści: „Samorząd“ — to wielka rzecz — to starosłowiańska przeszłość — to przyszłość nasza. Poczciwą myśl powzięliście. Pismo wasze czytuję z rozkoszą. Przyjmijcie staro— polskie „Sczęść Boże!“ I cóż się okazuje? Oto, że w owem piśmie niema ani przeszłości ani przyszłości, że nie można go czytać z rozkoszą, bo niema sensu, a z tego powodu Pan Bóg niema się niem dla czego tak specjalnie opiekować — słowem że to wszystko „Ignacy — a Ignacy nic nie znaczy“.. U Kraszewskiego ta dobroduszność w robieniu reklam doszła do takiego stopnia, że niema niedołęgi umysłowego, któremuby nie przyznał choć szczypty talentu, nie ma złego którego w danym razie by nie usprawiedliwiał...

Drugim pisarzem, który także lubi robić reklamy, tylko nie tak bezwzględnie pochlebne, jak Kraszewski, jest p. Lam. Utalentowany lwowski humorysta ma swe sympatje i antypatje, a wiedząc, jaką wagę ma jego słowo, usiłuje wmówić czasem w publiczność, że czarne jest białem, a białe czarnem. Ponieważ u nas mało ludzi zastanawiających się krytycznie, udaje mu się w niejednego wmówić, n. p. że „Szczutek“ ma więcej dowcipu od „Różowego Domina“, że wszystkie zdrojowiska europejskie są niczem w porównaniu z Morszynem i t. d.

Wszystkie te rodzaje reklam, które wymieniliśmy, są w wysokim stopniu demoralizujące i szkodliwe, a to zpowodu, że podnosząc niezasłużenie ludzi, którzy nie warci tego, obniża się tem samem rzetelne zasługi, a powtóre, że publiczność traci wiarę w prawdomowność tych, którzy powinni być właśnie kapłanami czystej niczem nieskalanej prawdy. To też postanowiliśmy sobie z otwartą przyłbicą i stanowczo walczyć przeciw tej ujemnej stronie naszej publicystyki, a mamy pewność, że zdrowa część publiczności stanie po naszej stronie.

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy)

Po wyjściu majstra dzieci zwlokły się z tapczana, i postawały koło pieca.

— Rozpal ogień Zygmuś — przemówił Tadeusz do najstarszego chłopca, wyjmując z kieszeni pęk wiór stolarskich i zapałki.

Wezwany zabrał się z zapałem do tej pożądanej operacji, a dwaj młodsi przypatrywali się, pomagając.

— A u ciebie w piecyku zapalić?—spytał palacz.

— Nawet się nie masz o co pytać — przemówiła matka, otwierając drzwi do przyległej izdebki. — Daj zapałki, ja sama rozpalę.

— Dobrze mamo, ale pod warunkiem, że dziś Jadzia z dziećmi będzie spała u mnie, a ja z mamą tutaj... i z umarłymi. Nam to nie zaszkodzi...

- Tylko dzieci mój Tadziu — cichutko wtrąciła Jadwiga — ja z wami...

— Odkądże to panna siostra wyemancypowała się z pod mojej komendy?—rzekł Tadeusz łagodnie, głaszcząc płowe włosy siostry. Będziesz spała z dziećmi...

— Jak każesz, mój drogi...

— Tylko życzę sobie...

Podczas tego, matka wyszła do sąsiedniej izby zapalić w żelaznym piecyku, za nią wysunęły się dzieci, zadowolone z rozkazu brata tem więcej, że prędsze rozgrzewanie się żelaznego pieca, dawało im zapewnienie wczesniejszej przyjemności ciepła.

Brat i siostra zostali sami — z umarłymi.

Tadeusz chodził po izdebce, Jadwiga wodziła za nim oczami. Postać jego, w niskiej izbie wydawała się olbrzymią. Był też istotnie wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, bardzo kształtny, a twarz jego inteligentna zdradzała dojrzałość nad wiek, i nikt patrząc na tę energiczną postawę młodego chłopca, nie byłby uwierzył, że miał dopiero lat dwadzieścia. W ruchach przebijała stanowczość charakteru — siła woli, i widać było że nie „w pieluchach marzeń“ ale wśród twardej, znojnej pracy, wśród troski i nędzy wyrastało jego ciało, dojrzewała dusza. Na jego postaci musiało się z przyjemnością zatrzymywać oko kobiet; — oko siostry spoglądało z bezgranicznem przywiązaniem.

— Tadziu! zawołała cichutko Jadwiga.

Chodzący zatrzymał się — rękami przetarł oczy, jakby się ze snu budził, i przystąpiwszy ku miejscu, gdzie siedziała siostra, stanął obok jej fotelu tak blisko, że ze sobą szeptem rozmawiać mogli, nie będąc słyszanymi w sąsiedniej izbie.

— Tobie zimno, Tadziu...

— Mnie gorąco, moja droga, strasznie gorąco...

— Tak długo cię niebyło..

— Goniłem za zarobkiem,.. Ale nigdzie — no, nigdzie go nie znalazłem... Wszystkie, nawet najmniej popłatne miejsca zajęte... Na jednę posadę djurnisty stu kompetentów... Bez protekcji ani rusz.. A gdzież jej szukać? Odprawiają ładnemi słówkami, nadziejami, obietnicami — ale na razie możesz zginąć z głodu... Każą bezpłatnie praktykować, i to za pozwoleniem wyższej władzy... Czysta ironja!..

— A u hrabiego byłeś?

— Byłem. Potrzebuje wprawdzie sekretarza, ale ten musi umieć doskonale po angielskn. Obiecywałem nauczyć się tego języka w przeciągu kilku miesięcy, ale nic nie pomogło. On chce, by jego sekretarz zaraz jutro pisał mu po angielsku memorjał jakiś... Sfiksował na uczoność. Polemizuje osobiście z Darwinem... Idjota!..

— Więc cóż będzie mój kochany bracie...

— Będzie co ma być... Pobrniemy biedą dalej... Dobrze, że choć dziś zaspokojone — do pojutrza nie pomrzemy z głodu — jest chleb... Sekretarz magistratu obiecał dać mi do roboty jakieś statystyczne wykazy, zestawienia, wprawdzie licho płatne, ale lepszy rydz jak nic... Obiecał obiecać!.. I to pociecha... Tymczasem sprzedałem paletot na chleb, drzewo, naftę i trumny... Zapłaciłem za nie naprzód, aby się pieniądze na co innego nie rozeszły... I znowu jestem bez grosza...

— A w domu już nic niema sprzedać...

— A tak — niema! powtórzył Tadeusz jak echo...

— Chyba... gdyby... powiedziała po chwili nieśmiało Jadwiga.

— Mów odrazu, nie cedź po słówku.

— Twoje biurko i szafkę...

— Ależ z największą chęcią, tylko wyprawmy matkę choć na godzinę z domu, bo ona woli i siebie i nas zamorzyć głodem, niż sprzedać moje rzeczy. Znasz przecie ten błąd matczynego serca...

Tak... tak... dajmy pokój tym zamiarom. Biedne matczysko gotoweby życiem przepłacić tę sprzedaż...

— A jednak coś wymyśleć musimy. Grosza trzeba... Zaraz jutro wypada iść zgodzić dwa groby. Trzeba grobarzowi zapłacić za nie, a ja nie mam złamanego szeląga... Chyba im sam grób wykopię...

—Tadziu! —Jadwiga złożyła ręce błagalnie i spojrzała z wyrzutem na brata.

— I cóżby było dziwnego moja droga... Niechby kielich goryczy był pełny i do dna spełniony... Ale cicho, matka wraca..—Podszedł ku niej. — Moja matusiu, czasby był położyć się trochę. Wszakże mama trzy noce oka nie zmrużyła...

— Niech się pierwej dzieci położą...

— Wszakże dopiero wstały. Będą sobie gwarzyć koło piecyka, a mama się zdrzemnie na mojem łóżku. Ja tutaj dzieci obdzielę kromkami... Moja mateczko złota — połóż się.,.

Trudno było oprzeć się prośbie swojego ulubieńca — jemu nigdy i nic nie odmawiała. To też wkrótce w pokoiku syna spoczęła na łóżku; dzieciaki siedząc koło piecyka zajadały spore kromki chleba, a w pierwszej izbie — obok umarłych — gwarzył szeptem brat ze siostrą o przyszłej doli i niedoli... A przedstawiały się one nie w ładnych barwach, ale owszem pokazywały smutne, groźne oblicze; w obec nich milkły najskromniejsze żądania, przycichały wszelkie marzenia — z po za tajemniczej zasłony przyszłości wyzierały ku młodym sercom upiory głodu i nędzy...

A szepty rodzeństwa były tak ciche, że w izbie słychać było wyraźnie poświst wiatru przez ściany, dźwięczenie szybek u okien i spadanie kropli deszczu z pułapu na podłogę...

— — — — — — — — — —

Nazajutrz — gdy matka jeszcze spała prawie o świcie — wysunął się z izby Tadeusz. Wyszedł tak wcześnie, aby matka zbudziwszy się, nie kazała mu wziąć paletota na siebie.

W nocy deszcz ustał, wybrało się na pogodę. Dzień obiecywał być chłodnym, ale nie dżdżystym. Tadeusz błądził bez celu po ulicach miasta, aby doczekać ósmej. Gdy ta wybiła na ratuszowym zegarze, był już u bramy cmentarza.

Siedziało tam już kilka żebraczek, a przed domem grobarza stało kilku mieszczan i grabarze z łopatami.

Tadeusz również tam pospieszył.

— Czy pan też przyszedł po grób? zapytał go jeden z mieszczan.

— Po dwa nawet — odpowiedział.

— To pan źle trafił, jak i my... mówił tenże sam mieszczanin. — Właśnie nam powiedzieli grabarze, że pan grobarz umarł nagle na tyfus, i niema komu przyjąć zapisu.

— A to porządek dopiero! oburzał się inny — to kalkulacja!

— Że tam panu grobarzowi podobało się umrzeć, to my przez to nie mamy mieć grobów...

— I do tego za nasze własne pieniądze...

— A to ci porządek magistracki...

— Bodaj ich wciurnascy...

— Musimy stać przed drzwiami jak jakie fagasy pana grobarza... Widziane to rzeczy?

— Moi panowie — przemówił Tadeusz — przecież nieboszczyk nie winien, że czekać musimy. Dajcież mu spocząć, nie wyzywajcie go. Niech kto pobiegnie do magistratu i doniesie co się stało. Przyszlą kogo z urzędu i zarządzą co potrzeba. Umarli czekać nie mogą. Przepis wymaga pogrzebania zmarłych do trzech dni.

— Ma się wie — wymaga. Dobrze pan mówią... A no, leć ty Macieju...

— Oho! zaraz! Albo ja to magistratowi wynajął nogi czy co?

— Pewnie! Zaraz na wysługi! Albo ja głupi!..

— Więc ja biegnę sam — bo mnie pilno...

I Tadeusz odszedł szybko. Młode nogi niosły go prędko. Nie minął kwadrans, gdy stanął w biurze sekretarza magistratu i oznajmił mu o śmierci grobarza.

— A to nas urządził! zerwał się ze stołka dygnitarz magistracki. — W taki czas umierać! Codziennie 15 do 20 pogrzebów! Bo to i ospa i tyfus! To się wybrał stary dureń. Nie mógł zaczekać!.. A tu jak na złość nie ma odpowiedniego kandydata...

— Czyż tak trudno o grobarza? zapytał Tadeusz.

— Pewnie że trudno, bo to niezbyt przyjemne zajęcie. Brrr!?...

— Jakichże kwalifikacyj żądacie panowie?..

— Uczciwości i znajomości czytania i pisania poprawnie.

— A jakież ma obowiązki?

— Nadzorować cmentarz, utrzymywać go w porządku; pilnować prawidłowego wybierania grobów, wyznaczać je według następstwa lat, i prowadzić książkę umarłych i pogrzebanych.

— A płaca grobarza?

— Stałej on niema. Ale pobiera za to taksy od grobów, dość znaczne; ma dochody z utrzymywania i przystrajania nadgrobków. O! to panie ładne dochody, tylko że nieprzyjemne. Żyć z umarłych! Brr!.. Kogo by to dać na miejsce nieboszczyka? Rzecz nie cierpi zwłoki...

I zafrasowany sekretarz przemierzał biuro wielkiemi krokami, mając ręce w tył założone.

Tadeusz patrzył na niego z dziwnym jakimś uśmiechem, a im dłużej patrzył, tem czoło jego stawało się pogodniejsze, oczy traciły wyraz ponurego smutku.

— Od kogo zależy, panie sekretarzu, nadanie tego miejsca? spytał Tadeusz.

— Od Zwierzchności gminnej a właściwie od burmistrza, odpowiedział zapytany nie przestając chodzić.

— A czy ja mógłbym je otrzymać?

Sekretarz stanął jak piorunem rażony i błędnemi oczami spojrzał na pytającego, jakby go niezrozumiał...

— P... a... n...?

— Tak, ja.

— Żarty! zaśmiał się sekretarz.

— Najszczersza prawda — powiedział Tadeusz z naciskiem.

— Ale żarty panie Tadeuszu, ty akademik — grobarzem?

— Nie żartuję, panie sekretarzu — ja proszę o to miejsce..

— Ależ to niemożebne! — oburzył się dygnitarz.

— Dlaczego? Czyż nie jestem dość ukwalifikowany?

— Ależ to czyste warjactwo!..

— Panie sekretarzu, mam na głowie utrzymanie rodziny z pięciu osób złożonej, a nie mam grosza. Dlaczegoż nie mam być grobarzem?

— Ależ zastanów się panie Tadeuszu... Masz przed sobę taką piękną przyszłość, zdałeś tak świetnie maturę...

— Która mi się nawet na to nie zdała, aby otrzymać miejsce djurnisty w jakim urzędzie. Wszyscy mi mówią o świetnej przyszłości, a o nędznej teraźniejszości nikt wiedzieć nie chce... Nie pyta mnie nikt, czy mamy co jeść dzisiaj, ale obiecuje mi uczty rozkoszne kiedyś... kiedyś, gdy rosa oczy wyje...

— I pan byś tak łatwo zrzekł się marzeń o przyszłości?

— O swojej bez wahania, byle rodzinie zapewnić przyszłość.

— Więc pan na serjo opierasz się przy swojem grobarstwie?

— Ja proszę o nie, jak o największą łaskę...

— Chodź pan do burmistrza, rzecz skończy się w dwóch słowach... Mnie pana żal, serdecznie żal, ale za to miasto cieszyć się powinno... A to curiosum — dodał biorąc kapelusz z pulpitu. — Maturzysta grobarzem! Jeszcze mi to się w życiu nie przytrafiło... (D. n.)

Ostatni raz!

Drżące mi gwiazdy rzekły nad Sanem
„Pamiętaj nas!“ —
Gasnące w zamgleniu złoto różanem
Ostatni raz!
I cicho wsiąkły jedna po drugiej
W niebieski sklep —
A przed mem okiem rozwił się długi
Piaszczysty step!
Drzewa szeptały w głuchym rozgwarze
Posępną wieść,
Że znów po obcych światów obszarze
Mam — ból mój nieść!
I wpatrywały się zamyślone
W ubiegły czas...
A wiatr im zrywał liści koronę —
Ostatni raz!
I wodne lilje wybiegły blade
Nad srebrny staw —
I na tajemną wezwały radę
Gromadkę traw!
I coś... w zmąconą patrząc się wodę
Wróżyły wraz —
A dzień się ubrał w smutną pogodę
Ostatni raz! —
I w brylantowe marzeń po dwoje
Wolne od skaz —
Duch tęskne loty skierował swoje
Ostatni raz!
Żegnając łzami, co serce palą
Ten cudów świat —
Co się unosił nad życia falą,
Jak lilji kwiat!
U nóg mi padły ostatnie liście
Uwiędłych róż, —
Zachód w purpurze płonął ogniście
Ostatni już! —
Po raz ostatni zabrzmiał w przestrzeni
Wieczorny dzwon —
I obwieściły hymny jesieni
Natury zgon!..
Ziemię owiały — cisze cmentarzy
I zimne mgły...
Pod ich dotknięciem, na mojej twarzy
Przystygły łzy!
Nim tak i serce długiem cierpieniem
Skrzepnie na głaz —
Ach! dziś Was jeszcze żegnam westchnieniem
Ostatni raz!..

Marja B.

Louis Blanc.

Któż nie znał w Paryżu sławnego człowieczka o śniadej, oliwkowej twarzy, z dużem ciemnem okiem, ciskającem błyskawice, krępej budowie i silnej postawie, w ubraniu nader prostem, zaniedbanem prawie i z ręką wetkniętą za klapę tużurka? Ten południowiec, tak mały, że mu na mownicy zawsze podstawiano stołek, aby go widzieć można z za balustrady, niepokaźny i skromny, a głosem miękkim i łagodnym raczej do kobiety podobny, ten „homunculus“, jak go nazywał Proudhom, to nie kto inny tylko „Latour d'Auvergne pracy“, czyli — jak się sam najchętniej nazywał: „Pierwszy z robotników Francji“, to Louis Blanc, przewodniczący obradom w „parlamencie robotniczym“ w pałacu Luxemburskim.

Podobnie do tylu innych znakomitości francuskich, i Louis Blanc był obcego pochodzenia, był południowcem. Urodził się w Madrycie (d. 28. Października 1813 r.) z matki korsykanki (sławnego rodu Pozzo di Borgo) i do 7. roku chował się w Korsyce. Ojciec jego był wychodźcą francuskim w czasach wielkiej rewolucji, i wrócił do Francji w r. 1820 wraz, dwoma synami z których jeden (Karol) stał się później sławnym malarzem, drugi zaś to właśnie Louis. Louis Blanc wróciwszy do Francji, chodził naprzód do gimnazjum w Rodez, skąd w r. 1830 przybył do Paryża dla — zarobku.

Siedmnastoletni wówczas młodzieniec, pełen zapału dla studjów, z talentem rokującym świetną przyszłość, widział się zmuszonym pójść za chlebem. Ojciec jego z upadkiem Burbonów stracił swoją pensję, i nie mógł utrzymać synów. Młody Blanc rzucony na bruk paryski, bez doświadczenia praktycznego, bez przyjaciół, do tego figurą swoją zupełnie do dziecka podobny, znalazł się w położeniu rozpaczliwem, i w tej to chwili niezawodnie uczynił ową przysięgę Hanibala, o której później wspominał, będąc u szczytu swojej sławy. Tę to chwilę swego życia miał on na myśli, gdy na posiedzeniu komisji dla spraw robotniczych, z d. 29. kwietnia 1848 r. powiedział do kolegów: „Jestem dzieckiem ludu. Tak przyjaciele, w młodości mojej wycierpiałem wiele — więcej niezawodnie niż wy wszyscy; i ja byłem ubogim, i ja byłem zmuszonym szukać zarobku w pocie czoła mego; i ja uczułem na sobie brzemię tego świata, źle urządzonego. Przeto dzieckiem niemal jeszcze będąc, powiedziałem sobie: Przysięgam w obec Boga i sumienia mego, gdybym kiedykolwiek powołany został do uporządkowania tych urządzeń społecznych, to nie zapomnę, że byłem jednym z najnieszczęśliwszych dzieci z ludu, że mnie społeczeństwo ugniatało! Przeciw ustrojowi społecznemu, który unieszczęśliwia tylu braci moich, uczyniłem przysięgę Hanibala“.

Nietrudno uwierzyć, że gorący młodzieniec uczynił ślub taki, jeśli się zważy, że przez cztery lata (1830-1834) zmuszony był utrzymywać się częścią z zapomóg od krewnych, częścią z przepisywania i z lekcyj. W końcu po dwuletnim pobycie w Arras, gdzie był guwernerem, i próbował pióra swego w piśmie „Propagateur du Pas-de Calais“ i otrzymał nawet nagrodę tamtejszej akademji za trzy wierszowane utwory, — uczynił Blanc to, co czyni tylu innych utalentowanych młodzieńców, niemogących znaleść odpowiedniego zarobku: został dziennikarzem! W r. 1834 ukazały się pierwsze artykuły jego pióra w dzienniku „Le Bon Sens“ którego odtąd był stałym współpracownikiem.

Los jego był rozstrzygnięty: utorował sobie drogę do przyszłej wielkości politycznej, ale też ściągnął na siebie, klątwę ciężącą na zawodzie dziennikarskim. Ciągle au qui vive, ciągle na usługi publiczności, miotany od przedmiotu do przedmiotu, rozstrzeliwając swe siły na tysiące i tysiące drobnostek, dziennikarz niema prawie chwili, gdzieby mógł skupić swe myśli, gdzieby mógł zgłębić jakiś przedmiot, dotrzeć do jądra jakiej kwestji.

Tak to absorbuje człowieka nieszczęsna beczka Danaid, zwana dziennikarstwem, i nie jeden zmarniał już geniusz, skazany na jej obsługę. Mało bardzo jest takich, którzy będąc dziennikarzami, zdołali jeszcze zająć się badaniami naukowemi, najrzadszymi zaś wyjątkami są dziennikarze, którym się udało nowe odkryć prawdy naukowe.

Do takich to wyjątków niezawodnie należy Louis Blanc. Jego teorja trzech okresów dziejowych, rozwinięta w historji rewolucji francuskiej, — jego wywód o zgubnym wpływie wolnej konkurencji i nauki ekonomji menczesterskiej, to bez wątpienia wielkie zdobycze na polu naukowem. Lecz pewnem jest niemniej, że jego teorja rewolucji dziejowej była genialnie wprawdzie ale jakby od niechcenia tylko rzuconą, a później dopiero przez innych zagłębioną i rozszerzoną, a zaś teorja o „organizacji pracy“, jakkolwiek oparta na nieporównanie bystrej krytyce obecnego ustroju społecznego, tak była niedostatecznie wypracowaną, że sam autor znalazłszy się nagle na czele „parlamentu robotniczego“, i mając w ręku wszelką władzę urzeczywistnienia swoich marzeń o uszczęśliwieniu klas pracujących, nie wiedział, jak się do rzeczy zabrać, i robił wrażenie lunatyka, co dostawszy się we śnie na szczyt dachu, nagle został obudzonym, lub (jeśli to porównanie za śmiałe) człowieka, który nauczywszy się trochę pływać, naraz się znalazł na pełnem morzu. Nabraliśmy tego przekonania, odczytując znakomitą mowę, którą wygłosił Louis Blanc d. 10. marca 1848 wobec 250 robotników, wezwanych przez komisję rządową do wyboru delegatów. „Mamże wyznać wam“ — rzekł on — „przyjaciele, że w chwili, gdy mnie zamianowano prezesem tej komisji

(dla spraw robotniczych), serce moje zadrżało z radości i dumy, jakkolwiek zastrasza ogromem swoim to pytanie, które mamy rozwiązać. Miałżebym odrazu znaleść się w pośród tych robotników, których los był przedmiotem najdroższych starań moich. Przy nich i z nimi, miałbym pracować nad urzeczywistnieniem myśli, które przedtem powierzać mogłem tylko książkom, nie wiedząc, czy kiedykolwiek tryumfować będą, Tak, przyznaję, przez chwilę czułem niezmierną dumę. Jeśli to niesłuszne, przebaczcie mi; jest to szczęściem mojego życia. A teraz przystąpmy do określenia prawdziwej istoty naszej misji. Troskliwie i z zamiłowaniem studjować pytania, które dotyczą moralnej i materjalnej poprawy waszego losu; wyniki formułowac w projekty do ustaw, które po przyjęciu przez rząd uchwalone będą przez zgromadzenie narodowe, oto zadanie komisji dla robotników . . . . . Będzie tu chodzić o właściwe zniesienie niewoli, o niewolę ubóstwa, ciemnoty, występku, o niewolę robotnika, który niema schronienia dla swego ubogiego ojca; córy ludu, która, aby wyżyć oddaje się występkowi w szesnastym roku; dziecięcia z ludu zakopanego żywcem w przędzalni w 10. lub 12. roku. Czy to wszystko jest tak zgodnem z istotą rzeczy ludzkich, żeby szaleństwem aż było wierzyć, iż ono kiedyś się zmieni? Któż śmiałby to twierdzić, bluźniąc tem postępowi? Skore społeczeństwo jest złem, to je przemieńcie!.. Znieście niewolę! Lecz, jeszcze raz powtarzam, niemasz nic trudniejszego, nic coby wymagało głębszego badania i większej ostrożności...“

Z umysłu przytoczyliśmy dłuższy ustęp z tej mowy, jako wielce charakterystyczny dla usposobienia autora. Tak nie przemawiają ludzie, którzy mają już pewne, urobione zdanie o kwestji, i plan działania, z którym przystępują do praktyki. To nie styl Bismarków ani Lassalle'ów; to nie mowa ministra, który inauguruje nowy system,—najwięcej członka kongresu socjalistów lub „przyjaciół pokoju.“ Całe też działanie „parlamentu robotniczego“ streszcza się w bezustannem wahaniu między teorją a praktyką, i w teorji najskrajniejsze żądania równości i braterstwa, a w praktyce — łataninana tle starych urządzeń, i poszanowanie nawet dla różnych świętości starego rządu. Pierwszą kreacją praktyczną Blanca, był projekt mieszkań robotniczych, do których jednak wstęp mieli tylko robotnicy legalnie żonaci *)

Inaczej też być nie mogło, bo teorja socjalizmu naonczas była w pieluchach, a nawet takie części jej, które dziś są przyjęte za pewniki naukowe, były jeszcze przedmiotem zaciętej polemiki między samymi socjalistami. Chwila do praktycznego zastosowania teorji“, jeszcze nie była nadeszła.

Nadto Louis Blanc miał licznych wrogów. Sami członkowie rządu prowizorycznego starali się oto, aby mu jego zadanie jak najbardziej utrudnić, aby go skompromitować. Wiadomo że t. z. Warstaty narodowe“ byłypomysłem wroga jego, ministra robót publicznych p. Marie, obliczonym tylko na to, aby do absurdu doprowadzić teorję „organizacji pracy“ i aby wytworzyć armję przeciw samemu jej przedstawicielowi i jego stronnikom. Owocem tych niecnych zabiegów były dwa razy zamachy na życie Louis Blanca, a w końcu dzień 16 czerwca, stanowiący jedną z najbrzydszych kart w dziejach Francji.

Jakkolwiekbądź jednak zdaje nam się, że Louis Blanc byłby szczęśliwszym w stosowaniu swojej teorji do danych warunków, gdyby był mężem stanu, a byłby zupełnie zaniechał tego zamiaru, gdyby był tylko badaczem naukowym; poszedł zaś inną drogą, dlatego, że był — dziennikarzem.

Mimo niepowodzeń swoich, oddał Louis Blanc znakomite usługi sprawie wolności. Śmiało powiedzieć można, że całej rewolucji lutowej on swoją potężną indywidualnością nadał sygnaturę. Wpływ jego na klasę robotniczą w kilka lat po rewolucji lipcowej, był tak wielkim, że gdyby to w ogóle było możebnem, byłby z pomocą zastępów robotniczych sam rewolucję zrobił; lecz rewolucje się nie „robią“; one jak burze — spadają z elementarną siłą, skoro się nagromadzi palny materjał. Materjałem tym prócz korupcji rządu, była straszna ilość i nędza proletarjatu roboczego, i dlatego rewolucja 1848 r. miała charakter wybitnie socjalny. Dzieła historyczne Blanca a mianowicie „Historja lat dziesięciu“ i „Historja rewolucji francuskiej“ wiecznie żyć będą, jako wzory historjografji i jako klasyczne zbiorniki poglądów szczerze demokratycznych, a jego „Organizacja Pracy“ pomimo swych niedostatków, stała się podstawą, na której później Marx i inni oparli znakomite swe badania socjologiczne. Część zwłaszcza krytyczna tej małej książeczki, potępienie wolnej konkurencji i wyzyskiwania, zawiera tyle prawd w oczy bijących, że dziś już nawet rządy nie mogą się im oprzeć, i biorą w obronę warstwy słabsze wobec wszechwładzy kapitału. Niektórzy nazywają Louis Blanca „ojcem nowoczesnego socjalizmu“. Jest to prawdą o tyle, o ile jego krytyka obecnego ustroju społecznego posłużyła za punkt wyjścia nowszym teoretykom socjalizmu. Różniły zaś Louis Blanca od typu tych socjalistów dwa mianowicie charakterystyczne punkta w jego poglądach: Louis Blanc był narodowcem i zwolennikiem silnej władzy państwowej. Gdy w r. 1871 delegaci komuny paryskiej jawili się przed zebraniem w merji drugiego okręgu paryskiego, aby się porozumieć co do wyborów, Louis Blanc unosząc się gniewnie zawołał: „Jesteście powstańcami przeciw zgromadzeniu wolno obranemu (w Wersalu). My, mandatarjusze prawowici nie możemy traktować z rokoszanami. Chcemy zapobiedz wojnie domowej, lecz nie chcemy uchodzić za waszych pomocników w oczach Francji.“ *)

W r. 1848 i później Louis Blanc ściągnął na siebie liczne gromy ze strony kolegi swego i antagonisty Proudhoma, właśnie z powodu jego adoracji dla silnego rządu. Proudhom nazywał go małym Robespierrem (Aborton de Robespierre), a w czasie rewolucji pomawiano go nawet o zachcianki dyktatorskie.

Louis Blanc, jako prawowierny uczeń Jana Jakóba Rousseau, kierował się przeważnie uczuciem. Uczuciowość jego dochodziła do tego stopnia, że popełniał przez to najgrubsze błędy polityczne. On to głosował w gromadzeniu narodowem przeciw banicji synów Ludwika Filipa i — Ludwika Bonapartego, tego samego, który później podpisał dekret skazujący Blanca przez trybunał w Bourges za rzekomy udział w manifestacji 15. maja (na rzecz Polski!). „Logika republikańska, — mówił on w Izbie — nie dopuszcza, aby syn był karany za ojca.“*) — Lecz Louis Blanc głosował także za zniesieniem kary śmierci i obstawał za Polską, a w r. 1878 gorąco bronił amnestji dla uczestników komuny, którą tak był przedtem potępił.

* * *

Staraliśmy się w tym krótkim szkicu scharakteryzować działanie i umysł człowieka, którego Francja uczciła pogrzebem na koszt narodu. Był on za życia przedmiotem licznych napaści, a i po śmierci trafił go już niejeden zarzut. Rzecz naturalna, bo płynął przeciw wodzie, walczył z obecnym porządkiem rzeczy.

Lecz cokolwiek bądź mu zarzucą, to pewna, że całe życie poświęcił sprawie ludu, sprawie ogólnej. O takim człowieku śmiało powiedzieć można:

He was a man!

Ludwik Inlender.

*) Ob. Augsb. „Alg. Ztg.“ nr. 81 z r. 1848.

*) Lissagaray „Histoire de la Comune“.

*) Louis Blanc, Pages d'histoire de la Revolution de 1848.

KOCI RAJ.

Bajka przez Emila Zolę.

I.

Miałem lat dwa, i byłem bezwątpienia najtłustszym i najnaiwniejszym ze wszystkich kotów. Już w tak młodym wieku miałem uprzedzenia, i gardziłem lubością domowego ogniska. A przecież jakąż wdzięczność winien byłem opatrzności, że umieściła mię u pańskiej ciotki! Poczciwa kobieta mię uwielbiała. W komodzie miałem urządzoną sypialnię, poduszkę z miękkiego puchu i trzy kołdry. A żywność była godna łoża; nigdy nie widziałem chleba, nigdy zupy, zawsze tylko mięso, wyborne mięso, soczyste...

A przecież, pośród tego życia pełnego słodyczy, miałem jedno pragnienie, jedno marzenie... wymknąć się przez okno i skoczyć na dach. Pieszczoty zdawały mi się mdłe, miękkość mego łoża sprzykrzyła się, byłem tłusty tak, że ciężyłem sam sobie i nudziłem się przez dzień cały z samego... szczęścia.

Trzeba wam wiedzieć, że wyciągnąwszy szyję widziałem z okna dach przeciwległy. Cztery koty bawiły się na nim z naszczurzoną siercią, z mordkami otwartemi tarzały się na płytach siwego łupku, oświetlonego promieniami słońca, wydając okrzyki radości. Dotychczas niewidziałem nigdy coś tak nadzwyczajnego. Odtąd przyszedłem do innego przekonania. Szczęście prawdziwe było tam na dachu, za tem oknem, które zamykano starannie. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób zamykano drzwi spiżarni, gdzie chowano mięso.

Postanowiłem uciec. Na świecie musiało być przecież coś lepszego od krwistego mięsa. Było to coś nieznanego, był to ideał. Pewnego dnia zapomniano zamknąć okno od kuchni, a ja skoczyłem na mały daszek, który był pod oknem.

II.

Jakiż ten dach był piękny! Pokrywały go szerokie gonty, wydające cudowne wonie. Szedłem z rozkoszą po tych gontach, a łapy moje grzęzły w delikatnym pyle, ciepłym i miłym nieskończenie. Zdawało mi się, że chodzę po aksamicie. Słońce przygrzewało, paliło prawie i przypiekało mi tłuszcz pod siercią.

Nie będę ukrywać, że drżałem na całem ciele. Radość moja była połączona ze strachem. Przypominam sobie szczególnie jedno wrażenie, które omal nie strąciło mnie na chodnik. Trzy koty, spuszczając się z dachu przeciwległego, szły ku mnie miaucząc okropnie. A kiedym mało co nie upadł, zaczęły mię traktować jak ostatnie bydlę i rzekły, iż miauczą ze śmiechu. Miauczałem więc z nimi razem. Było to rozkoszne! Zuchy te nie miały takiej miny głupiego tłuściocha jak ja. Drwiły sobie ze mnie, kiedym ślizgał się jak kula po płytach cynkowych, rozpalonych od słońca. Stary kocur, jeden z tej bandy poprzyjaźnił się ze mną. Ofiarował się, że weźmie mię na wychowanie, co przyjąłem naturalnie z wdzięcznością.

Ah! jakże pieszczoszek ciotki waszej był ograniczony! Piłem wodę z rynny i nigdy mleko z cukrem nie wydało mi się tak słodkie. Wszystko wydawało mi się piękne i dobre. Kotka nadeszła, prześliczna kicia, a na jej widok obudziło się we mnie nieznane dotąd wzruszenie. Tylko w marzeniach sennych widziałem dotąd te śliczne stworzeńka, których figurka nie ma nic sobie równego. Ruszyliśmy na spotkanie przybywającej razem, we czwórkę. Wyprzedziłem inne, chciałem złożyć uszanowanie moje prześlicznej koteczce, gdy nagle jeden z mych towarzyszy ukąsił mię boleśnie w kark. Wydałem jęk boleści.

— Bah, bah! — rzekł do mnie stary kocur wstrzymując mię, zobaczysz dość innych.

III.

Po godzinie przechadzki uczułem głód wilczy.

— Cóż wy tu jecie na dachu? — zapytałem towarzysza.

— Co się znajdzie, — odpowiedział stary kocur tonem profesorskim. Odpowiedź ta wprowadziła mnie w kłopot. Szukałem wszędzie, ale nic nie znalazłem. Nareszcie spostrzegłem w mezaninie młodą robotnicę przygotowującą sobie śniadanie. Na stole pod oknem leżał śliczny kotlet, nader apetytnego koloru.

— To moja rzecz, pomyślałem w naiwności mojej.

I skoczyłem na stół i pochwyciłem kotlet. Ale robotnica spostrzegła mnie i spuściła na grzbiet mój okropnej wielkości miotłę. Upuściłem mięso, a umykając rzuciłem straszne przekleństwo.

— A więc nie udało się? rzekł do mnie kocur. Mięso leżące na stole jest na to, aby zapalać naszą pożądliwość. Jedzenia trzeba szukać w rynnie.

Nie mogłem nigdy pojąć tego, że mięso w kuchniach nie jest własnością kotów. Żołądek mój zaczął się dopominać na serjo. Kocur doprowadził mnie do rozpaczy mówiąc, że trzeba czekać nocy. Tymczasem zeszliśmy na ulicę i przewracaliśmy kupki śmiecia. Czekać nocy! Mówił to spokojnie jak stoik zatwardziały. Ja zaś na samą myśl, że post ten będzie trwać dłużej, upadałem z osłabienia.

IV.

Powoli nadeszła noc, noc mglista, która mnie przeniknęła do kości. Wkrótce deszcz zaczął padać, cieniuchny, zimny, pędzony gwałtownymi podmuchami wiatru. Zeszliśmy po zgniłych progach schodów. Jakże brzydką zdawała mi się ulica! Nie było tu już owego ciepłego pyłu, słońca palącego i dachu białego od światła, gdzie tak było rozkosznie. Łapy ślizgały mi się po wilgotnym chodniku. Z goryczą wspomniałem sobie trzy kołdry i poduszeczkę z puchu.

Zaledwie znaleźliśmy się na ulicy, kiedy przyjaciel mój zaczął trząść się ze strachu. Kurczył się i kulił, i sunął się wzdłuż kamienic, mówiąc abym spieszył za nim. Kiedy znalazł drzwi otwarte, chował się szybko do sieni i mruczał zadowolony. Pytałem go o powód ucieczki.

— Widziałeś tego człowieka, który niósł kosz i hak? pytał.

— Widziałem.

— Otóż ten człowiek zobaczywszy nas, byłby nas zadusił i zjadł na rożenku!

— Zjadł na rożenku? — zawołałem. A więc ulica nie jest dla nas? Nie jemy nic, a możemy być zjedzeni!

V.

Tymczasem wyrzucono śmiecie z kamienic na ulicę. Rozrzucałem te kupy i znalazłem dwie lub trzy suche kosteczki, leżące w popiele. Mój towarzysz kocur rozgrzebywał te kupy artystycznie. Kazał mi tak biegać aż do rana, zwidzając każdy rynsztok. Przez 10 godzin przeszło siekł mię deszcz, drżałem na całem ciele. Przeklęta ulica, przeklęta wolność! Jakże tęskniłem za mojem więzieniem!

O świcie, kocur mój, widząc, że się słaniam na nogach:

— Masz dosyć tego? — zapytał mnie zdziwiony.

— Ah, dosyć, dosyć, — odparłem.

— Chcesz wrócić do domu?

— Zapewne, lecz jak go odnaleźć?...

— Chodź że, chodź, Z rana widząc cię wychodzącego, poznałem, że taki kot — pasibrzuch jak ty, nie jest stworzony do zażywania wolności. Wiem, gdzie mieszkasz odprowadzę cię do bramy.

Mówił spokojnie, zacny ten kocur, a gdyśmy przyszli na miejsce:

— Do widzenia! rzekł, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Nie, nie, — zawołałem, — w ten sposób się nie rozejdziemy. Pójdziesz ze mną. Będziemy dzielić ze sobą łóżko i jedzenie. Pani moja jest poczciwa kobiecina...

Nie dał mi dokończyć.

— Zamilknij, — rzekł surowo, — jesteś głupiec. Ja umarłbym w waszych miękkich puchach. Opływasz we wszystko,

ale życie takie dobre dla kotów bastardów. Koty wolne nie kupują za cenę niewoli mięsa ani poduszki puchowej... Bywaj zdrów... I odszedł na dach. Widziałem zdala chudą jego figurę drżącą z radości pod ciepłem promieniem wschodzącego słońca.

Kiedy wszedłem, ciotka pańska chwyciła rózgę i dała mi lekcję, którą przyjąłem z głęboką radością. Cieszyłem się, że mi ciepło i że zostałem zbity. W chwili, gdy mię biła, myślałem z rozkoszą o mięsie, które mi rzuci później.

VI.

— Widzisz pan, zakończył kot mój, wyciągając się przed kominkiem, — prawdziwem szczęściem, rajem prawdziwym, mój panie, jest być zamkniętym i bitym nawet tam, gdzie jest także mięso. — Mówię to o kotach tylko...

Przejście Wenery przez tarczę słońca.

napisał

Dr. K. Hertz. *)

Dzień 6 grudnia pamiętnym będzie w historji astronomii, gdyż tego dnia miało miejsce zjawisko, które powtórzy się dopiero za 122 lat, a mianowicie dnia 8 czerwca 2004 r. Jeżeli to zjawisko niebieskie znane pod nazwą przejścia Wenery przez tarczę słońca, jest już ciekawem z powodu swej rzadkości, to staje się ono niezmiernie ważnem z tego względu, że służy do wyznaczenia odległości ziemi od słońca. Zadanie o wyznaczeniu odległości ziemi od słońca należy do najważniejszych i najtrudniejszych zadań astronomii. Ważność jego polega na tem, że odległość ta stanowi jednostkę do mierzenia wszystkich odległości niebieskich, tak że błąd w wielkości odległości ziemi, od słońca, odbija się we wszystkich innych pomiarach niebieskich.

Nie znając ścisłej wartości promienia drogi ziemskiej, nie znamy też ani promieni dróg innych planet, ani średnic ich, ani też odległości gwiazd. Co więcej, błąd co do tej jednostki zasadniczej, daje też błędne rezultaty przy obliczaniu biegu ciał niebieskich. Gdyby nasze dane były zupełnie ścisłe, to analiza matematyczna dałaby nam możność obliczenia na wieczne czasy zarówno przeszłych jak i przyszłych położeń ciał naszego układu i warunków, odnoszących się do ich dróg. Lecz najmniejsze błędy co do tych danych, chociaż nie wpływają na wypadki odnoszące się do epok nie bardzo oddalonych od chwili obecnej, to jednak z biegiem czasu potęgują się i dają wypadki zupełnie niezgodne z rzeczywistością. Tak np. mała niepewność odnośnie do odległości ziemi od słońca, czyni wątpliwemi wszelkie wnioski mogące być wyprowadzonemi z rachunków biegu ziemi, odnośnie do epok odległych na kilka tysięcy wieków. Otóż, ponieważ niektóre zadania nauk przyrodniczych, a szczególnie geologii wymagają ścisłej znajomości warunków biegu ziemi w epoce odległej na kilka milionów lat, więc nic dziwnego, że astronomowie starają się wyznaczyć odległość ziemi od słońca z największą ścisłością.

*) Ciekawy ten i wyczerpujący artykuł pozwoliliśmy sobie wyjątkowo umieścić z ostatniego numeru warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego“. (P. R.)

Odległość tę wyznaczyć bardzo łatwo, jeżeli tylko znaną będzie pewna wielkość, znana pod nazwą paralaksy słońca. Dla wyjaśnienia czytelnikowi, co to jest paralaksa słońca, i w jaki sposób ona może służyć do wymierzenia odległości ziemi od słońca przypomnimy sposób używany przez geometrów dla wyznaczenia na ziemi odległości punktu niedostępnego. Wiadomo, że w tym przypadku obiera się na ziemi pewną długość nazwaną podstawą, którą się jak najściślej oblicza i za pomocą teodolitu wyznacza się kąty, j kie linie prosto poprowadzone od końców podstawy do punktu nieprzystępnego tworzą z podstawą. Znając te dwa kąty, możemy też bardzo łatwo znaleźć kąt, jakie te proste tworzą ze sobą w punkcie nieprzystępnym. Poznawszy zaś te kąty, możemy na zasadzie twierdzeń geometrycznych lub trygonometrycznych, obliczyć szukaną odległość punktu nieprzystępnego. Tę samą metodę można też zastósować przy obliczeniu odległości ciała niebieskiego. W tym celu należy na ziemi obrać sobie dwa punkty dość od siebie odległe, i jednocześnie wyznaczyć, jakie położenie względem zenitu zajmuje owe ciało niebieskie w dwóch punktach obranych. Wyznaczywszy to położenie, możemy bardzo łatwo znaleźć kąt, jaki proste poprowadzone od ciała niebieskiego do dwóch stanowisk na ziemi tworzą pomiędzy sobą. Znając zaś ten kąt i odległość dwóch stanowisk na ziemi, możemy obliczyć odległość ciała niebieskiego. Gdy chodzi o odległość słońca, należy wyznaczyć kąt, jaki tworzą ze sobą w słońcu proste poprowadzone do środka słońca ze środka ziemi i z punktu na ziemi, dla którego słońce w danej chwili wschodzi. Otóż ten kąt nazywa się p a r a l a k s ą s ł o ń c a. Jeżeli wyobrazimy sobie trójkąt prostokątny utworzony promieniem ziemskim, prostą styczną do ziemi i przechodzącą przez środek słońca, i prostą łączącą środki ziemi i słońca, to znając paralaksę słońca i promień ziemi, bardzo łatwo możemy obliczyć odległość ziemi od słońca. Promień więc ziemski znamy bardzo dokładnie, pozostaje nam zatem tylko obliczyć paralaksę słońca.

Bezpośrednie wyznaczenie tej paralaksy sposobem wyżej wspomianym nie prowadzi do ścisłych wypadków, a to z powodu nadzwyczajnej jej małości — nie jest ona bowiem mniejszą od 9". Dotychczasowe obserwacje i pomiary dały wypadki zawarte pomiędzy 8". 75 i 8". 88, lecz ta mała różnica wynosząca zaledwie 0". 3 daje wypadki różniące się pomiędzy sobą o półtora miliona kilometrów. Otóż niemogąc bezpośrednio wyznaczyć paralaksy słońca, astronomowie starali się podać metody pośrednie, oparte na różnych zasadach. Ze wszystkich tych metod najlepszą jest metoda podana w roku 1677 przez znakomitego astronoma angielskiego, Halley'a, i polegająca na obserwowaniu czasu przejścia planety Wenus przez tarczę słońca. Nim przystąpimy do bliższego wyjaśnienia metody Halley'a, musimy zwrócić uwagę na to, że paralaksa słońca wchodzi prawie do wszystkich rachunków astronomicznych, poczynając od tych, które się odnoszą do układów gwiazdowych i budowy wszechświata i kończąc na tych, które się odnoszą do wyznaczenia miejsca, jakie zajmie księżyc w pewnej epoce, za pomocą którego to wyznaczenia obliczamy długość geograficzną na morzu.

Metoda Halley'a zasługuje na najwyższy nasz podziw, gdyż za jej pomocą zamiast mierzyć kąt wynoszący zaledwie kilka sekund, dość jest wyznaczyć czas, wynoszący przeszło piętnaście minut. Rozumie się samo przez się, że w niniejszym artykule nie mogę podać wszystkich szczegółów metody znakomitego astronoma i muszę się ograniczyć na wskazaniu głównej jej zasady. Niekiedy zdarza się, że tak nazwane planety wewnętrzne, to jest te, które się znajdują pomiędzy słońcem i ziemią (Merkury i Wenus) przy ich niższem złączeniu (t. j. gdy środki słońca, planety i ziemia znajdują się na jednej prostej i w porządku takim, że planeta znajduje się pomiędzy ziemią i słońcem) przechodzą przez tarczę słońca, i wtedy z ziemi widziane przedstawiają się na tarczy słonecznej jako bardzo wyraźne czarne okrągłe plamy.

(Dok. nast.)

Wzory przemysłu domowego.

II.

Garncarstwo słynęło u nas z lat dawnych. Przemysł domowy powstawał wszędzie tam, gdzie tylko znalazła się obfitość gliny odpowiedniej, a w XVI, XVII i XVIII wieku zakładano w rozmaitych miejscach fabryki naczyń polewanych, tz. kamiennych, a nawet fajansu i porcelany. Ale wyrób ten opłacał się tylko tak długo, póki przy ulepszeniu dróg komunikacyjnych nie spotkał się z konkurencją zagranicy. Dziś w niektórych miejscowościach tylko wyrabiają naczynie proste a tanie, potrzebne do domowego użytku, któremu nie szkodzi żadna konkurencja dlatego, że po prostu szkodzić mu nieopłaci się nikomu.

Były jednak i takie miejsca, gdzie dawna utrzymała się tradycja, gdzie tajemnica malowania naczyń i ozdabiania ich szklistą polewą zachowała się, gdzie jednem słowem garncarstwo stało na stopniu dawnej świetności. To zwróciło uwagę naszych przemysłowców, a wskutek kilku wystaw, na których wyroby te zdunów wiejskich zajęły poczesne stanowisko, wzięto się do zakładania szkół garncarskich.

Czy te szkoły doprowadzą do pożądanego rezultatu, trudno dziś orzec. To pewna, że znane nam dotąd wzory świadczą, iż gałęź ta przemysłu mogłaby się u nas bardzo pięknie rozwinąć. Naczynia kosowskie w ogóle dowodzą, że nam nie brak dobrego materjału na wyroby ceramiczne, a niektóre arcydzieła Aleksandra Bachmińskiego (którego życiorys i portret podano w serji V Wzorów przemysłu domowego.) znane pod nazwiskiem majolik kosowskich, są przykładem jasnym, że włościanom naszym, nie brak także wrodzonego gustu i poczucia piękności linij ornamentacyjnych, jak i umiejętności przyozdobienia naczyń, i nadania im polewy, i szkoła może tu uczynić bardzo wiele jako kierowniczka, a w danym razie dostarczycielka pięknych wzorów. Ona może podać garncarzom wiejskim pomocną rękę nietylko w wyuczeniu ich sposobów, używanych przy wyrobach podobnych gdzieindziej, ale dostarczyć im potrzebnych przyrządów, a w końcu ułatwić zbyt dalszy wyrobom.

Na dwunastu tablicach serji V, zamykającej wzory wyrobów garncarzy kosowskich, pomieszczono trzy dzbanki, dwa lichtarze, flaszki i bukłaski, miski, garnek i kubek. Jakkolwiek wyroby te nie są zupełnie ściśle kopiowane z natury, i jakkolwiek rysownik widocznie starałsię linie ich przyprowadzić do pewnego stylu, każdy przyznać musi, że pomiędzy temi naczyniami są rzeczy bardzo piękne, mogące iść śmiało w porównanie z wyrobami zagranicznemi. Nie jedno z nich kształtem przypomina wyroby ceramiczne greckie, a zadziwia ornamentyką, która łączy z prostotą nadzwyczajną szlachetność linij. Przypatrzmy się jeno dzbanowi z nakrywką (Tab 2), a przyznać musimy, że odznacza on się nie tylko wysmukłością kształtów, ale i doborem dekoracyj, które u szyi dzbana bardzo pięknie udają zdobną niby w wisiorki zasłonę, a łączą się wybornie w jedną całość z wieńcem, otaczającym w okół brzuszek dzbana.

Również podobać się musi każdemu kształtny lichtarz (Tab 5.), ozdobiony gustowną ornamentyką, złożoną z krzywych linij, plecionki i punktowań, a narzucony u podstawy wypukłemi guzami, niby klejnotami. W lichtarzu tym są rozmiary mało co nie powiemy architektoniczne, a przedewszystkiem wiele poczucia rysunku. To samo dałoby się powiedzieć o miskach, a zwłaszcza też o misce, której głąb przedstawia stylistycznie narysowany kwiat, wyrastający, z kształtnego dzbanka. (Tab. 8 b.) tudzież o drugiej w której motywem ornamentacyjnym jest krzyż bardzo pięknie skombinowanyz gwiazdą a wreszcie i o puharku ozdobionym kielichami kwiatów (czyż może być piękniejszy motyw do ozdoby kubka czy kielicha, jak kielich kwiatu?), nakoniec o miseczce należącej do garnituru (!), z gwiazdą po środku a wiotkim i leciuchnym wianuszkiem na krawędzi.

Wszystko to więc świadczy o usposobieniu i umiejętności, ale czy ta umiejętność kiedykolwiek dojdzie do takiego rozwoju, aby wytworzyła o własnych siłach przemysł, mogący konkurować z wyrobami zagranicznymi, to wielkie a nader ważne dla przyszłości pytanie. Pytanie to trudno rozwiązać obecnie, gdy mamy zdać sprawę z wydawnictwa i gdy nam niewolno wdawać się w ocenienie istoty rzeczy. Przy sposobności jednak, kiedyś, poruszymy tę sprawę z innego stanowiska, a teraz wracamy do rzeczy.

Serja VI „Wzorów“ zawiera wyroby metalowe huculów. Przemysł ten utworzyło samo zamiłowanie ludu do ozdób. Sięga on bez wątpienia bardzo dawnych wieków i dzisiaj upadł prawie zupełnie. Dr. Exner, sądząc z podobieństwa niektórych motywów ornamentacyjnych, mniema, że początek jego sięga jeszcze czasów przed wędrówką narodów, i przyniesiony został wprost z Indyj. Jakkolwiek bądź, jest rzeczą pewną, że niektóre z tych ozdób używanych później od święta, miały z pewnością dawniej znaczenie jakieś symboliczne, służyły jako symbol władzy, odznaka godności lub rodu, i sięgają zamierzchłej przeszłości. Mamy na myśli toporek bez ostrza (kielus) u mężczyzn, tz. czilce (dyadem) u kobiet. Ale nie o to nam idzie. Pragniemy ocenić metalowe wyroby huculskie pod względem artystycznym, i dla tego wprost do nich przystąpimy.

Ubiór hucuła i hucułki składa się z mnóstwa ozdób. Ozdoby te są wyrobem domowym. Hucuł sam robi model, sam odlewa w nim przedmiot, i sam go wygładza i upiększa później ornamentyką z linji lub punktowań. A robota to nie dyletancka. Począwszy od pierścieni i obrączek (perstyni i obruczkie), kolczyków i łańcuszków, a skończywszy na toporku, prochownicy, połyci, wszystko to robione starannie, a modelowane i cyzelowane artystycznie. Niektóre z krzyżyków np. Tab. III 1. 5 IV 5 i pierścieni Tab. II 5, 10 IV 10, 11, mogłyby służyć za wzór wielu fachowym robotnikom. Równie pięknie wykonane są wszelkie nabijania gwoździami czy guzami, lub okładanie łuskowym pancerzem (Tab X, 12), choć najwięcej podnieść by chyba należało ozdoby wykonane na pistolecie i prochownicy, gdzie hucuł robi po części konkurencję sławnym robotom Boulowskim.

Przemysł ten dziś w zupełnym znajduje się już upadku. Najpiękniej zdobione przedmioty są pomnikiem i zabytkiem dawnych lepszych czasów, pochodzą jeszcze z „oprywszczyny“, o której hucuł wspomina zawsze z dumą. Głównym powodem upadku tego przemysłu, jest jak powiada p. Wierzbicki w przedmowie, obawa przed opodatkowaniem, w skutek czego góral trudni się wyrobem takich rzeczy przy innej pracy, uważając je za uboczne zajęcie. Konkurencja fabrycznych wyrobów zabija przemysł domowy, opodatkowanie zada im cios ostateczny. Chcąc go utrzymać, należy przedewszystkiem ochronić od ciężarów i podać mu pomocnarękę: ułatwiając zbyt i dając mu potrzebne środki i narzędzia pracy.

Na tem kończymy sprawozdanie nasze o „Wzorach“, a wyrażając p. Wierzbickiemu imieniem ogółu podziękowanie za to, co dotąd uczynił, oczekujemy z niecierpliwością reszty.

Przegląd literacki.

(Zdrajca, powieść współczesna w 2 tomach. Napisał Józef Rogosz — Lwów 1882.)

Autor głośnych swojego czasu „Chorób Galicji“ „Marzycieli“, kilku innych powieści o mniejszej wartości, i bodaj czy nie

najlepszych z wszystkiego „Wspomnień z Włoch" i studjów krytycznych o „Matejce i Grottgerze", napisał ostatniemi czasy dużą, bo prawie 700 str. liczącą powieść, pod efektownym tytułem „Z d r a j c a." W konwencjonalnem „Słowie" wstępnem autor zastrzega się uroczyście, jakoby w charakterystyce tej i owej postaci odwzorował kogoś z ludzi żyjących, zapewnia, iż usiłował jeno stworzyć typy „znane dobrze w Galicji między r. 1860 — 1880", a nie kopie, że one jednak potroszę przypominają czytelnikowi — choćby tylko kilkoma szczegółami — ludzi powszechnie znanych, nic dziwnego, gdy się zważy, ze „ilekroć w powieści pojawia się figura żywa, a nie manekin, musi ona kogoś przypominać." — Trudno nie zgodzić się z autoremna to zapatrywanie, i wyznamy otwarcie, żeśmy bardzo ciekawi byli, jak też autor pojął i nakreślił te żywe figury, a dobrze znane u nas typy! Zadanie to oczywiście dla pisarza niepospolicie trudne, bo nie da się zaprzeczyć, że tworząc powieść na tle stosunków, — że się tak wyrazimy — ledwie wczorajszych, wprowadzając w niej postacie, którym dla owej typowości, kładzie się w usta często frazesy znanych ludzi... łatwo, bardzo łatwo popaść można — dodamy, nawet wbrew własnej woli i chęci — w ton fałszywy, trącący paszkwilem... Ostatecznie wiedzą to pono wszyscy, że pomiędzy t. z. prawdą naturalną — w charakterystyce takich typów współczesnych — a paszkwilem, nadzwyczaj cieniutka linja demarkacyjna, prawie niewidzialna, i bez kwestji łżej ją przekroczyć, niżeli zatrzymać się przy niej... Snać o tem wiedział i czuł to autor dobrze, skoro w wyżwspomnianem, „Słowie", usiłował z góry odeprzeć wszelkie w tym kierunku podejrzenia, które mogłyby się zrodzić w niejednym czytelniku... Co do nas sądzimy, że po uważnem przeczytaniu całej powieści, tym wszystkim, który w ostatnich latach bądź udział brali w życiu publicznem, w najszerszem tego słowa znaczeniu, bądź tylko przypatrywali się mu zdaleka, informując się dajmy na to z gazet, musi się wydać koniecznie, że... autor trochę za wiernie przeniósł pewne fakta i reminiscencje na kartki swojego ostatniego utworu, co niewątpliwie pod pewnym względem obniża poziom artystycznej jego wartości... Powieść współczesna, z tendencją wybitnie polityczna, mogła śmiało obejść się bez ścisłości „historycznej" w szkicowaniu niektórych faktów i ludzi... lepiej do tego nadawałyby się p a m i ę t n i k i.

Po tych kilku ogólnych uwagach, czas zastanowić się przedewszystkiem, do jakiej kategorji powieści zaliczyć wypada „Zdrajcę"? Autor nazwał go powieścią współczesną, i słusznie, bo dał jej za tło stosunki społeczno-polityczne w Galicji z ostatnich lat. Fabuła w „Zdrajcy" zajmująca, zawiązanie intrygi zręczne, a przeprowadzenie jej z małemi wyjątkami, dość naturalne i logiczne; wprowadzone postacie, zwłaszcza kilka z nich, „wymodelowane" do najdrobniejszych niemal szczegółów — słowem pozornie wszystkie warunki dobrej i „poczytnej" powieści, a mimo to całość, a szczególnie część druga, robi wrażenie zręcznie udramatyzowanej broszury politycznej. Jeżeli było zamiarem autora (a z wszystkiego zdaje nam się, że było!) pewne teorje polityczne, w wygodnej i popularnej formie powieści zaaplikować ogółowi p r o m e m o r i a, osiągnął on cel swój bez wątpienia. „Zdrajca" jest w sukienkę romansu ubranym, a na wskróś tendencyjnym traktatem z dziedziny t. z. „wyższej polityki", a la margr. Aleks. Wielopolski... Otóż o nią nam w tem miejscu nie idzie wcale, i pomijamy zupełnie, czy ewentualnie pisalibyśmy się lub polemizowali z autorem i n p u n c t o doktryn politycznych, wygłaszanych przez głównego bohatera „Zdrajcy," Ryszarda Gozdawę...Mimochodem, jedną tylko uwagę jeszcze musimy przy tej sposobności zrobić autorowi, mianowicie: czy w sześciomilionowem społeczeństwie niema innych żywiołów godnych badawczego oka pisarza, innych figur do rysowania, jak jeno taki stary szlachcic lekkomyślnik (typ wprawdzie ogólny, ale okropnie już zużyty i nadużyty!), zbogacony kradzieżą żyd — łotr skończony — i znowu szlachcic (już młody) p. Ryszard? Notabene ten ostatni dziwne mixtum compositum — jak określa lud dosadnie: ni pies ni baran. A inne znów figury w roli statystów, także mniej więcej z t y c h s a m y c h s f e r, które, otwarcie mówiąc, okropnie się już przeżyły w powieści i przejadły. Ostatecznie — skoro autor ma widoczną predylekcję do „karmazynów", trudno mu to wyrzucać serjo i dziwić się, bo może w końcu łatwiej mu poruszać nimi na papierze, niżeli rozglądnąć się za bohaterem w świecie, w którym ludziska żyją i obchodzą się jakoś bez „herbów i koligacji," i ztamtąd rzeczywistego człowieka przedstawić z prawdą realną.

Wracając do rzeczy, musimy pominąć tendencje polityczne „Zdrajcy", a natomiast przypatrzymy się mu ze stanowiska oceny literackiej, jako powieści. Zatem bohaterem jej wspomniany wyżej Ryszard Gozdawa. Któż to taki? Młody, 26 letni człowiek, z rodziny zamożnej, „świetnie skoligaconej", jak o tem niejednokrotnie autor chętnie wspomina, syn poczciwego safanduły, wraca do domu z zagranicy (z Paryża oczywiście!) gdzie bawił dłuższy czas dla nauki, i skąd przywozi aż dwa doktoraty : filozofii i medycyny. P. Ryszard robi pozornie wrażenie człowieka, wychowanego na dogmatach pozytywnej filozofii, w rozmowie sam bardzo często, z pewną dumą, mieni się p o z y t y w i s t ą, ale równocześnie raz tym i owym postępkiem w życiu codziennem, to znowu enucjacją niedwuznaczną, zdradza aż nadto wyraźnie, że o nowożytnym pozytywizmie, o poglądach tegoż na kwestje społeczne, o zastosowaniu jego teoryj w życiu, wrzekomy pozytywista ani wyobrażenia niema.. — przynajmniej autor niedał go nam poznać z tej strony. Przeciwnie bohater ten wygląda, po bliższem zastanowieniu się, na młodego człowieka, który przesiąknięty do szpiku i poniekąd zaskorupiony tradycjami ciasnej kastowości, wprawdzie grzał się jakiś czas przy wielkich ogniskach nauki i postępu wszechstronnego, ale mimo to do kraju przywiózł z sobą ledwie wiązankę wiadomości fachowych, które łatwo mógł był nabyć dajmy na to w Krakowie lub Wiedniu, nie fatygując się aż do Niemiec i Francji. Nie wiadomo, po co właściwie autor wysełał go na tę kosztowną ekskurzję kilkuletnią—chyba że to zwyczajem u „karmazynów"? Bo jakże pogodzić, na przykład, z wynikami sumiennej nauki i dobrze pojętego liberalizmu, ową zabobonność Ryszarda, o której raz serjo mówi, lub owo uprzedzenie plemienne i wstręt nawet do ślicznej kobiety — w której się zakochał, a li dla tego, że wrzekomo żydówką była? Wprawdzie autor usiłował umotywować to przy sposobności, jednak szczerze powiemy, nie przekonał nas... Młody medyk, tem samem człowiek, któremu nie tajne prawa rządzące człowiekiemi przyrodą — z a b o b o n n y, i odwracający się uparcie od pięknej anielskiej dziewczyny, dla której serce i głowa mu płona, a odwracający tylko skutkiem antisemityzmu — to s p e c i e s zupełnie nowa i co gorzej nienaturalna! Zresztą Ryszard nie tylko w tym kierunku grzeszy olbrzymią niekonsekwencją — oczywiście mając zawsze na oku okoliczność, że prawdopodobnie autor, wyposażywszy go osobistymi przymiotami, chciał go mieć rozumnym postępowcem, opartym na nauce i wiedzy pozytywistą, słowem człowiekiem, który czuł w sobie powołanie na r e f o r m a t o r a społeczeństwa swojego. I tak, przebywając po powrocie dłuższy czas na wsi, bawi się on w filantropa; leczy chorych bezpłatnie, kupuje im lekarstwa, a raz nawet zapłacił za egzekwowanych kilku włościan biednych zaległości podatkowe. Od czasu do czasu gł osi piękne teorje społeczno — polityczne, jest zdecydowanym antisemitą, prz

wyborach poselskich udaremnia — ponosząc przy tem znaczne ofiary — zabiegi niejakiego Sterna o mandat, zna tego Sterna na wylot, jakito ptaszek, a równocześnie z fatalistyczną jakąś obojętnością przypatruje się, jak ten Stern zarzucił sidła na jego ojca, starego Gozdawę, i przygotowuje mu konsekwentnie zgubę majątkową. — Już to portret Sterna udał się autorowi znakomicie, i w ogóle wszędzie, gdzie potrąca o tz. kwestję żydowską, widać sumienne studia i niepospolity zmysł spostrzegawczy obytego z przedmiotem pisarza. Przypominamy sobie, że i w „Chorobach Galicji“ jeden z najlepszych rozdziałów stanowili „Żydzi“.

Mniej szczęśliwym pomysłem wydaje nam się wprowadzenie Rózi — wrzekomej córki Sterna, a rzeczywiście sieroty pochodzenia chrześcijańskiego, podstawionej z umysłu przez żonę Sterna za jego dziecię — z obawy przed rozwodem. Prawdopodobnie potrzebną była autorowi dla dramatycznej intrygi i rozmaitych sytuacyj popisowych z bohaterem. W ogóle czytając „Zdrajcę“ co chwila nasuwała nam się uwaga, że w obec wcale wiernie zchwyconego i oddanego otoczenia, bohater sam za mało ma w sobie zwykłego śmiertelnika a przeciętnie rozumnego człowieka, a za nadto znowu wygląda na dziwnie skombinowaną fikcj autorską, której kazano tak a nie inaczeję chodzić, mówić, działać, byle tylko nadawała się do założenia... Ztąd brak naturalnego rozwoju w akcji, uciekanie się dla roz wiązania pogmatwanych nici intrygi do takich przestarzałych,a już i pensjonarkom na znaną skądinąd bajeczkę wyglądających środków jak cała historja z Dobrzyńskim, Sciernickim i t.p. niezrozumiałe, i dodamy dla rzeczy samej zbędne zupełnie epizody. W drugiej części bohater pojawia się w stolicy, i dla skutecznej walki z Sternem, który zdołał przekabac na swą stronę jedyny w kraju organ polityczny, p. Ryszard zakłada pismo polityczne. Przedtem jednak autor skreślił, nie bez znajomości faktycznych stosunków, smutny obraz dziennikarstwa naszego... cóż kiedy uczynił to w sposób tak zgryźliwy i namiętny, wrzekomy typ „dziennikarza“ przedstawił w tak wstrętnem świetle, że chyba, powiedzmy otwarcie, rozminął się zupełnie tym razem z widocznem zresztą wszędzie u niego poczuciem i miarą artystyczną, a co gorzej z p r a w d ą...

Twierdzimy stanowczo, że gdyby nawet istniał u nas kiedykolwiek taki Żylewicz, człowiek bez czci, ambicji i poczucia honoru, słowem potworne monstrum pod każdym względem, nie należało w powieści wyśrubować go do znaczenia „typu“, bo rzecie możliwy wyjątek choćby istniał kiedy nie może być za zbiorowego przedstawiciela całego zawodu uważany, i wątpimy bardzo, czy autor, który sam zaliczał się do niedawna do grona tych pracowników, może z ręką na sercu tak w czambuł potępić cały zastęp ludzi, tworzących u nas t. z. stan dziennikarski? A trzeba nie zapominać, że powieść ma wstęp wszędzie, — i pokazując czytelnikowi takiego okropnego Żylewicza — jako typ dziennikarza, może nie mało przyczynić się do podtrzymania u ogółu, i tak grasujących tam już epidemicznie a najczęściej niesłusznych uprzedzeń i niechęci, ba! nawet wzniecić pogardę dla ludzi, który z małemi wyjątkami, z własnem zaparciem pracując długie lata dla dobra publicznego, wynagradzani są stosunkowo gorzej, niżeli pierwszy lepszy robotnik rękodzielniczy, a niejednego z nich czeka starość chłodna i głodna, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia...

Chciejmy wierzyć, że może tylko bujna fantazja, faworyzująca widocznie i przy każdej sposobności swego benjaminka Ryszarda, i w tym wypadku, chcąc stworzyć dlań silny kontrast, dla tem większego efektu, a nadto być może w połączeniu z resztkami niewygasłej jeszcze niechęci jakiejś i goryczy... uniosła autora zadaleko, i pozbawiła go na chwilę artystycznego spokoju w traktowaniu rzeczy... O ile tytuł powieści „Zdrajca“ stosowny i usprawiedliwiony, nie możemy i niechcemy sądzić, zważywszy, że wysnuty on na podstawie przeprowadzonych teoryj politycznych, których rozbiór i krytyka przekroczyłyby zakres naszego pisma. Dodamy jeno, że już w dzisiejszych czasach, nawet „bezmyślny tłum“ na głos pierwszego lepszego krzykacza, nie piętnuje c z ł o w i e k a z a s a d i p r z e k o n a ń, choćby nawet diametralnie różnych od jego własnych, nazwiskiem „zdrajcy“, jak to usiłował autor, przedstawić w końcowej scenie, na zgromadzeniu wyborców. - - Nakoniec zaznaczamy, że p. Rogosz i w „Zdrajcy“ złożył świetny dowód, iż jest doskonałym stylistą, a język jego poprawny i jędrny.

Stan. W.

ZIARNKA.

Niepomyślną mamy porę d o siewu naszych ziarnek, Aura naprzód fatalna — ni zima, ni jesień, grunt rozmoczony i błotny, w błocko zaś nie tylko pereł, lecz i ziarnek rzucać nie można. Na gruncie takim nie tak łatwo wyrosnąć może jakaś roślina, a cóż dopiero dojrzeć, ziarnka i wysypać... W sfery wielkiej polityki, ba nawet mizernych „Tages-fragen“ wkraczać nam ustawa prasowa zabrania — pozostaje nam więc obszerna sfera życia intellektualnego i artystycznego. Konia jednak z rzędem, kto wyszuka u nas jakiego donioślejszego objawu z dziedziny życia umysłowego, a ze sfery artystycznej mamy tylko do notowania różne amatorskie koncerta, urządzane przy pomocy naszych instytucyj muzycznych na różne cele dobroczynne. Bacząc na dobre chęci łaskawych amatorów i nadobnych amatorek, bierze się zwykle chęci za uczynek i prawi się oklepane komplementa... Bale mniej lub więcej skoczne, mniej lub więcej taneczne dopiero w stadjum przygotowania... i o tem więc pisać nie możemy, ubiegają nas w tem wszystkiem zresztą pisma codzienne... nie powiemy więc nawet nic nowego, gdy doniesiemy im o blizkim przyjeździe do sławnego grodu Lwa słynnej wiolinistki panny czy pani de Blanc, którą znają obie półkule. Do zbytku już także mają zapewne czytelnicy procesów kryminalnych, któremi zawalone są formalnie nasze dzienniki, jakby innych ważniejszych i ciekawszych nawet tematów już zabrakło. A młodzież wszechnic... O tej ostatniej pisaliśmy już niejednokrotnie, słynie ona tem przedewszystkiem, że emigrują z niej zdolni docenci i dobijają się sławy na szerokim świecie, jakby na świadectwo znanej maksymie, że n e m o p r o p h e t a...; młodzież zaś niczem się nie przypomina, chyba swoją nieobecnością... Pod tą wyjałowiałą skorupą może i nurtują jakie prądy, i nowe jakie życie kiełkuje, tymczasem jednak, prócz drobnych wstrząśnień podziemnych i drobniejszych jeszcze wybuchów wulkanicznych, nic o niej nie słychać. Kto wie, czy nie miał racji nasz nowelista, gdy kończąc swoje spostrzeżenia zebrane „przy drodze“ doradzał.... Ot stawmy kropkę i basta...

* * *

W dzisiejszym numerze umieszczamy krótką „bajkę“ Emila Zoli. Czytelnicy przekonają się z niej, że nie wszystko prawda, co mówią o tym bądź co bądź znakomitym pisarzu ci, którzy z pewnością nie znają żadnego z dzieł jego, a powtarzają tylko za panią matką to, co się komuś z przeciwników kierunku artystycznego Zoli powiedzieć chciało. I my również nie ze wszystkiem godzimy się ze sposobem przedstawiania niektórych rzeczy przez Zolę; ma on pewną słabość do używania barw jaskrawych, i często przechodzi granice, na jakie pozwala zwykłe realistom rzucanie silnego światła na główne sceny i obrazy, ale wytłumaczyć te wady łatwo choćby tem

że u przełomu pewnej epoki historycznej a zwłaszcza przy zmianie zapatrywań artystycznych, jaskrawości takie zawsze się zdarzają. Umieszczona w numerze dzisiejszym bajka czy powiastka jest satyrą głęboko pomyślaną, a świetnie przeprowadzoną w szczegółach, tak, że z tego jednego choćby obrazka pozna każdy, że to nie lada gryzi piórka, dążący do podniecenia nerwów, za jakiego by go niektórzy przedstawić chcieli, ale pisarz posiadający oko o szerszym poglądzie na świat, umiejący równie silnie przemówić do serca jak do rozumu.

* * *

Ktoś i kiedyś zrobił raz uwagę, że moda, ta potężna a kapryśna i niezmienna bogini — ma pod pewnym względem małe podobieństwo do — „ułamków ciągłych“. O ile to porównanie stosowne, zostawiamy do oceny samemu czytelnikowi — i nie będziemy się gniewali bynajmniej, gdy spotka je znany zarzut, że chroma, jak każde porównanie od czasów Homera począwszy. Na każdy jednak sposób, o tyle przynajmniej ów pierwszy, który się dopatrzył pomiędzy modą a „ułamkami ciągłemi“ pewnej analogii, ma niezbitą rację, że jak u tych charakterystyczną cechą jest ciągłe powtarzanie się pewnego szeregu liczb (ztąd ich nazwa), tak i w dziejach mody widzimy w pewnych odstępach czasu systematyczny powrót tych samych gustów i upodobań, pod względem ubioru, zabaw, itd. itd. O przykład nie trudno. Oto donoszą z Paryża, że tamtejszym adeptom Terpsychory znudziły się już polki, walce, a w ich miejsce proponują tańce z czasu Ludwików: menueta i gawota. Płeć piękna, a w tym wypadku i brzydka, choć pochopna do każdej nowości, przynajmniej na razie podobno zakłopotana niezmiernie — bo łatwo to powiedzieć: odtąd będziemy tańczyli menueta i gawota, a precz z monotonną polką i walcem niemieckim! Ale jak tańczyć, gdy się nie umie, zkąd wziąć „mistrzów“, i gdyby się nawet znalazł jaki, czy podobna w tym krótkim czasie, który już dzieli nas od karnawału — wyuczyć się tych pełnych wdzięku i gracji pląsów, któremi rozbrzmiewały głośne na cały świat zabawy wersalskie? Roztrząsając z należytą powagą te doniosłe kłopoty i utrapienia pięknych Paryżanek, dzienniki francuskie wspominają zarazem o ostatnim znakomitym „mistrzu“ w menuecie i gawocie, niejakim p. Michaud, który zmarł już niestety, nie doczekawszy się powrotu tego, co podług niego największą wartość narodu francuskiego stanowiło. Opowiadają o nim, że kiedy po ogłoszeniu się cesarzem Napoleona III, powrócił z Anglii, gdzie się był przed republiką schronił, podał memorjał do tronu, przedstawiając, że wprowadzenie dawnych tańców powinno być najpierwszym obowiązkiem monarchy. „Sire, kończył wymowne swe pismo — placez l'aurore de votrs regne sous l'egide de Terpsichore“ a kiedy tron na przedstawienia jego był głuchy, mawiał: „Ce régime n'a pas su restaurer les danses nobles, il ne fermera pas l'ere de revolutions“.

ZAPISKI.

Literatura.

* Przegiąd archeologiczno-bibliograficzny po dwuletniem istnieniu przestał wychodzić, skutkiem braku poparcia ze strony publiczności...

* Zakład nar. Ossolińskich, założony jak wiadomo w r. 1817, według sprawozdania za rok ostatni zawiera następujące ,zbiory: Dział Drukowanych unikatów 73.610; dubletów 4811: rękopisów 2745, rycin 22501; atlasów i map 1072, obrazów 669; podobizn 75; przedmiotów muzealnych 1650; autografów 2666, monet polskich 1697, rzymskich 2602, innych monet, medali i ich dubletów 6148 sztuk; zbrojownia posiada 586 sztuk broni i zbroi starożytnych, zbiór przyrodniczy około 10000 okazów.

* Od początku wieku bieżącego tj. w ciągu lat 80ciu. 178 badaczów Afryki środkowej przepłaciło śmiercią swój zapał dla nauki i odkryć. W tej liczbie było 75 anglików, 37 niemców i 35 francuzów. Większość z pomiędzy nich uległa klimatowi, dwudziestu zginęło z rąk krajowców, a pięciu dzikie wierzęta

* Pod oryginalnym tytułem, przypominającym książki i broszury z XVI, XVII i XVIII w. a to „Skarbiec odkryty, bogaetwa, piękności i wszystkich prawideł zasadniczych mowy i pisowni polskiej. Zebrał i najściślej opracował Bożydar Ożyński L. etc. etc“. wyszło ostatniemi czasy w Krakowie w drukarni uniwersyteckiej dzieło, którego celem ma być: uczynić mowę naszą „klasyczną i własności prawidłową jako mającą wszystkie zalety dialektu najbogatszego w świecie“. Autor zdradza w całej pracy, że czytał rzeczywiście bardzo wiele, ale zbytek rudycyjnego ballastu, a przytem brak jakiegokolwiek systemu w układzie całości, stwarza taki chaos, że ostatecznie nie wiedzieć czego chce, a czego nie chce. Za przykładem Fr. Zagórowskiego i ks. Malinowskiego, p. B. O. proponuje nową grafikę i pisownię, zaklina ogół aby je przyjął, jeśli mowa nasza ma być uratowana od zguby(!). Cóż, kiedy reforma autora polega li na dziwacznem upstrzeniu liter naszego abecadła dodatkami, które przyczyniłyby się tylko do osłabienia wzroku! Prawdopodobnie kosztowne wydanie „Skarbca odkrytego“ spocznie snem wiecznym na pułkach kilku bibliotek i księgarni, a reformatorskie chęci autora przeminą bez odgłosu. Szkoda było „czasu i atłasu“.

* Świetny poemat Hamerlinga „Amor und Psyche“ wyszedł na gwiazdkę w wspaniałem wydaniu ilustrowanem przez Thumana.

* Antony Trollope, znany powieściopisarz, zmarł w Londynie. Urodzony w 1815 roku, syn zażywającej rozgłosu autorki Frances Trollope, podróżował czas długi po Ameryce, Australji i Afryce. Oprócz wielu opisów podróży, pozostawił Trollope znaczną liczbę powieści, z których najlepszą jest „Doktor Thorne.“

* Pierwsza serja cennego dzieła „Culturgeschichtliches Bilderbuch“ złożonego z 12 zeszytów, a wydawanego przez G. Hirtha, opuściła właśnie prasę. Jest to zbiór podobizn starych rycin i rysunków, zawierających charaktetystyczne przyczynki do historji obyczajów, ubiorów, urządzeń domowych i tp, od XVI w. począwszy. W serji wydanej mieści się 555 rycin na 390 kartkach wielkiego formatu in folio. Dla artysty jest to publikacja nieocenionej wartości

* Pani Adam, głośna wydawczyni „Revue nouvelle“ napisała powieść p. t. „Lachanson des nouveaux époux“ (Piosnka nowożeńców) która wyszła z druku z illustracjami Benjamina Constant, Munkaczego Ed. Detaille, Pawła Laurent, Juljusza Lefebre, Lamotte, Leroux, Toudouze, A. Moret, G. Doré, Każdy z rysunków wykonany przez doskonałego rytownika, a całość stanowi w ten sposób zbiór ilustracyj wspaniałych.

* Znakomity fizjolog J. Moleschott oddał do druku dzieło pt. „Hermann Hettner's Morgenroth“ o którem sam pisze w liście prywatnym, że będzie w niem opisywać cztery lata, przepędzone ze swoim przyjacielem (1847 — 1850), znakomitym historykiem literatury. Książka ta obudza ogólne zajęcie, bo oprócz osobistych wspomnień, treścią jej główną będą uwagi historyczno-estetyczne.

* Paryska akademia umiejętności rozpoczyna wydawnictwo pomnikowego dzieła, do którego od 50 lat zbierano materjały. Dziełem tem będzie „Historyczny słownik języka francuskiego“.

* Ryszard Mahrenholtz, autor znakomitego dzieła o życiu i dziełach Moliera wydał obecnie pracę tę w streszczeniu z opuszczeniem źródeł.

Teatr i muzyka.

* W Warszawie przygotowują przedstawienie dramatu Henryka Ybsena pt.: „Podpory społeczeństwa“

* Wkrótce już oczekiwaną jest w Petersburgu p. Marcelina Sembrich Kochańska, przebywająca obecnie w Dreznie, dokąd udała się po ukończeniu sezonu w Madrycie. Jeżeli mamy wierzyć sprawozdaniom dzienników hiszpańskich, pobyt artystki w Madrycie był nieustającym szeregiem tryumfów. Partja Ofelji, którą astystka po raz pierwszy w Madrycie śpiewała, miała być wykonaną tak świetnie, iż wobec niej blednie rola Łucji, uważana dotąd za najlepszą w jej repertuarzu.

* „Śliczna“ Ira Reichówna po tryumfach odniesionych w Warszawie, gdzie śpiewała Halkę po polsku, wybiera się do Krakowa z koncertami, a po drodze z pewnością i do Lwowa zajrzy.

* Skrzypek Ondrziczek zawarł w Wiedniu z impresarjem Ignacym Kuglem umowę na trzechletnią podróż artystyczną po Niemczech, Rosji, Skandynawji, Holandji i Włoszech, na nader korzystnych dla siebie warunkach.

* W „Theatre des Vodevilles" przedstawiona będzie w tych dniach nowa komedja Wiktoryna Sardou „Feodora".

* W odbitce osobnej wyszły dwa artykuły z muzycznego leksykonu, Mendla Reissmana. Jeden z nich traktuje o muzyce skandynawskiej, drugi, będący tłumaczeniem z francuskiego artykułu Dr. Waxla, obrabia muzykę portugalską.

* „Der Bettelstudent" Pod tym tytułem wystawiono w teatrze *an der Wien* udatną operetkę Zella i Gene'go, do której arcy-wdzięczną muzykę napisał Millöcker. Rzecz dzieje się w zeszłym wieku w Krakowie i traktowana jest dla nas sympatycznie.

* Popołudniowe przedstawienia wchodzą w modę w Paryżu; zeszłej niedzieli odbyło się tam 17 przedstawień a wszędzie teatr przepełniony był mimo że równocześnie (początek o 1 lub 1½) od. i bywały się cztery koncerta.

* W teatrze Porte St. Martin w Paryżu, dają bez przerwy nowy fabrykat Jul. Verne'a i Dennery pt. „Le voyage a travers l'impossible". Ta udramatyzowana podróż podobnie jak poprzednia znana już pt. „Podróż naokoło ziemi w 80 dniach", składa się z 25 stacyj czyli obrazów, i skutkiem świetnej i oryginalnej wystawy cieszy się oczywiście niezwykłem powodzeniem.

Sztuki piękne.

* „Kunsthändler" Gurlitt w Berlinie rozpisał konkurs na ramę artystyczną. Biorący udział mają przysłać projekt szkicowany w rozmiarze: 10j tudzież wykończony rysunek rogu ramy. Trzy najlepsze projekta otrzymają 250, 150 i 100 marek. Termin do 15 stycznia 1883.

* „Hołd pruski" jest już obecnie wystawiony w Rzymie—głosy wszakże dzienników włoskich nie doszły nas jeszcze.

Młodzi artyści polscy, kształcący się w wiecznem mieście, przysłali krakowskiemu mistrzowi adres okolicznościowy, pełen wyrazów czci uwielbienia. Na czele podpisanych stoi Franciszek Krudowski, twórca „Golgoty".

* Przy szkole malarstwa na porcelanie, szkle i fajansie, istniejącej w Warszawie pod kierunkiem p. Zdżarskiej, powstaje gabinet artystyczny, gdzie wyroby, odznaczające się gustem i estetycznem wykończeniem, będą wystawiane.

* Brama florjańska w Krakowie, ten przedziwny zabytek architektury gotyckiej, jakim tylko Norymbergja poszczycićby się mogła, ma być wkrótce stosownie odrestaurowana.

* W kościele ewangelickim w Krakowie odsłonięto w tych dniach obraz nowy Siemiradzkiego przedstawiający „Chrystusa uśmierzającego burzę".

* J. Burger, ceniony powszechnie rytownik wykonał dwa nowe sztychy. W jednym podaje wspaniale odtworzoną Madonnę della Sedia, w drugim Florę Tiziana z galerji Uffizi.

* W miejsce znanego kostiumoznawcy prof. Weisa, który jest zajęty obecnie studjami w zbrojowni, powołany został do wykładów historji kostiumu do berlińskiej akademji sztuk pięknych, malarz A. Heyden.

* W. „Temps" wyraża się znakomity krytyk francuski Paul Mantz o „*Pięciu zmysłach*" Makarta z bardzo skromnemi pochwałami, i powiada między innemi, że kompozycja równa się zeru, że silne tła szkodzą nagim figurom, które tracą świeżość w skutek tego. Makart zna prozę form, ale nie rozumie się na poezji. „Pięć zmysłów" nie są piękne, a jako typ nieprawdziwe.

* Wiktor Brodzki ukończył w Rzymie okazały monument z marmuru kararyjskiego, zamówiony przez Elżbietę z Grabowskich (córkę Michała) ku pamięci zgasłego przed laty kilkoma jej męża, Maurycego Poniatowskiego. Pomnik ten stanie prawdopodobnie w krakowskim kościele św. Piotra.

Miscelanea.

(L. W.) Znany astronom W. Valentiner, pisze o wielkim komecie tegorocznym: „Według doniesień dotychczasowych o wielkim komecie, budzi tenże niezaprzeczenie tak wielkie zajęcie, jak mało który tak pod względem swojego zjawiska jak też pod względem swojej kolei. Spostrzegł go najprzód jako zjawisko bardzo jasne astronom Finlay, 8. września na przylądku „dobrej nadziei," to też gdy takim zjawiskom widocznym już bez dalowidzu, zwykliśmy nadawać imię odkrywcy, kometę tego nazwać należy kometą Finlaya a nie Crula. Niestety nadeszły wiadomości z przylądka „dobrej nadziei" do Europy bardzo późno, w przeciwnyn razie udałyby się były, także przed przejściem komety przez przybliż słoneczną, które 17. września się odbyło, na innych miejscach liczne spostrzeżenia, któreby miały wielką wartość dla obliczenia kolei komety. Szczególnie byłyby się spostrzeżenia te, z przyczyny bardzo małego oddalenia, w jakiem kometa przed powierzchnią słońca przeszedł, przyczyniły do rozstrzygnięcia pytania, czyli kometa w skutku przejścia przez warstwy wewnętrzne atmosfery słoneczej, albo innego, słońc może okrążającego ciała lotnego albo z przyczyn innych nie dających się ani spostrzedz ani obliczać, nie doznawał zmiany ruchu swojego. Obliczono dotychczas, że oddalenie najmniejsze w którem kometa przechodził przed powierzchnią słoneczną, około 50,000 myriametrów wynosi. Po za to oddalenie rozszerza się jednak tak zwany wieniec słoneczny, kometa więc przeszedł niewątpliwie przez niego.

Pomimo że kolej jego bardzo podobna do kolei komet z roku 1668, 1843 i 1880, to jednak zdaje się, jakoby ze żadnym z tych komet nie był identyczny i jakoby przeciwnie istniała gromada wielkich komet, krążących po tej samej około słońca kolei. Prawdopodobnie kometa długo jeszcze będzie widomy, przez który to czas dowiemy się z pewnością o łączności jego z kometami dawniejszymi. Koleje tamtych komet, pozostały niepewne, z przyczyny, iż bardzo krótko można było je spostrzegać.

Jako zjawisko przewyższył jasnością swoją większą część komet, których mamy opisy, gdyż jak wiadomo, widziano go na wielu miejscach oczyma gołemi, a z przylądka „dobrej nadziei" widziano go przechodzącego między ziemią i słońcem aż do wejścia przed tarczę słoneczną. Nawet teraz pomimo wielkiego oddalenia od słońca i ziemi, przedstawia jeszcze pyszny widok. Czyli przedmiot mglisty odkryty przez Dr. Schmidta w Atenach, lecz w skutku małej wyraźności tylko przez 3 dni spostrzegany, do komety należał, nie da się już rozstrzygnąć.

Wielkie przemiany odbywały się w jądrze komety. Widziano 8. października jądro podwójnie podzielone, a to samo spostrzeżono także na spostrzegalni w Karlsbadzie 19. października i w Kielu. Rozdział musiał się odbyć po 7 października, gdyż z tego dnia mamy spostrzeżenia więcej astronomów, którzy jednak o tem nic nie wspominają. Po 30 października nie widziano już żadnego podziału w jądrze. Ogon komety tego jest bardzo długi: jego długość kątowa, jak nawet w jasnej nocy księżycowej spostrzeżono, wynosi przynajmniej 5.000,000 myriametrów.

Treść:

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Magazyn futer
P. Czapczyńskiego

w Lwowie ul. Halicka Nr. 1.

Poleca na sezon zimowy wszelkie gatunki futer do podróży i do miasta, damskie i męzkie.

Kołnierze i zarękawki damskie w wielkim wyborze, skóry pojedyńczo i hurtownie.

Cennik na żądanie franco.

Kowalski & Mayer

we Lwowie,

pod „Opatrznością" Rynek l. 26.

polecają

swój obfity skład

wszelkich rodzajów Płócien, Web rumburgskich, szwajcarskich, holenderskich i francuskich.

Oraz różne Caschemiry, Tybety, Alpaki, Wełnianki, Flanelki, Barchany kolorowe i białe, Pończochy, Szkarpetki, Pończoszki dziecinne, Kaftaniki, Spodnie, różne wyroby trykotowe i włóczkowe, Nici, Bawełnę białą i kolorową, Watę i Bawełnę czesaną, Kołdry, Kocyki i nakrycia na łóżka.

Obstalunki na bieliznę i zamówienia na prowincyę uskutecznia jak najspieszniej i najakuratniej.

Można nabyć

kilka cennych

olejnych oryginalnych

OBRAZÓW

za umiarkowaną cenę.

Bliższej wiadomości udzieli Administracja „ZIARNA."

Fabryka korków

I. galicyjska — katalońskich

L. J. Malewski

ulica Dominikańska l. 5. LWOW

poleca swą fabrykę korków do beczek i butelek, w lepszej jakości od zagranicznych jakoteż drzewo korkowe i koła do mielenia jagieł.

założona w roku 1877.

KIT

do okien i drzwi biały, szary i brązowy, w najlepszem gatunku poleca:

O. T. WINCLER,

We Lwowie, dom Narodny.

DRUKARNIA
„DZIENNIKA POLSKIEGO"

przy ulicy Halickiej pod l. 46 na dole

przyjmuje wszelkie zamówienia na

roboty odnoszące się do sztuki drukarskiej

które uskutecznia prędko, wzorowo

i po cenach umiarkowanych.

Leon Zubalewicz,
zarządca.

Na jesień i zimę!

Największy wybór bawełnianych, wełnianych i jedwabnych kaftaników, spodeń, pończoch i skarpetek,
wełniane kamizelki z rękawami (Jagdgilets),
wełniane i jedwabne chusteczki na szyję,
Płótna i stołową bieliznę.
Główny skład gotowej bielizny, angielskich nieprzemakalnych płaszczy, Kołnierzyków, Manszet i Krawatek
poleca po najumiarkowańszych stałych cenach

F. S. BARDASZ

2644 1-12

we LWOWIE naprzeciw kościoła Katedry l. 9.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za przewyborne perfumy i wody toaletowe.

Woda lwowska odznacza się bardzo przyjemnym i długotrwałym zapachem, zastępuje perfumy, wody pachnące, octy aromatyczne i toaletowe. — Woda lwowska zyskała powszechne uznanie i wziętość w kraju i za granicą. Ponieważ woda lwowska nietylko jest znakomitą perfumą do skrapiania sukień i chustek, lecz użyta także za pomocą rozpylacza, daje bardzo wonne i miłe kadzidło, flakon 80 ct. i 1 złr. 50 ct.
Woda lewandowo-ambrowa. Posiada bardzo przyjemny i silny zapach; służy do skrapiania sukień i chustek, niemniej też użyta za pomocą rozpryskiwacza, daje bardzo przyjemne i wonne kadzidło. Cena flakona 1·20. Pół flakona 70 ct.
Woda lewandowa podwójna. Odszczególnia się nader przyjemnym orzeźwiającym zapachem i używa się nietylko jako woda pachnąca do skrapiania sukień, chustek i mieszkań, lecz także jako woda toaletowa ma obszerne zastosowanie w damskiej toalecie, czy to do nacierania ciała, lub też smięszania z wodą do mycia, bardzo korzystnie wpływa na płeć i skórę, konserwując i chroniąc ją od wyrzutów, zmarszczek itp. Cały flakon 90 ct. Pół flakona 50 ct.
Woda kolońska potrójna, która o wiele przewyższa swoją dobrocią zagraniczne flakony po 40, 80 i 1·50.
Woda kolońska flakony po 25, 50 i 1 złr.
Ocet toaletowy. Odznacza się nader przyjemnym zapachem i jest powszechnie używanym do odświeżania ciała, skórze nadaje jędrność, czerstwość i chroni ją od wszelkich wpływów szkodliwych powietrza. Służy on również do odświeżania i odwietrzania powietrza w salonach. Cena 50 i 1 złr.
Perfumy. Chypr, heliotrop, jaśmin, Jokey-Klub, hiacynt, lilija, perfuma krakowska, perfumy z kwiatów alpejskich, kwiatów polnych, kwiatów wschodnich, Ess-bouquet, Millefleurs, paczula, rezeda, róża mchowa, Opoponaks, Ylang-Ylang, piżmo, perfuma litewska, fiołek, świtezianki, ambrozja, niezapominajki, pieszczotka, kwiat polski, konwalia, pierwiosnek, róża itp. flakoniki po 30, 50, 75 ct. 1·50 i 2.
Saszetki (Sachet) z zapachem paczulowym, z kwiatów wschodnich, konwaliowym, kwiatów polskich, kwiatów alpejskich, fiołkowym, lewandowym, piżmowym, różannym, heliotropowym itd. po 50 ct., 1 złr. i 4 złr.
Wody toaletowe z zapachami: fiołek, heliotrop, Millefleurs, Ess-Bouquet, służą do nacierania ciała i skrapiania włosów. Flakon 1 złr.

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

We Lwowie ulica Kopernika l. 2. Filja w Krakowie Sukiennice l. 20. 1971 3—0 2

Najświeższe

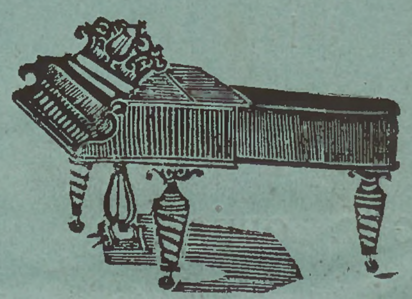
TAŃCE

Br. Rakowieckiego:

„Niebieskie migdały" walec	. 1 zł.	— ct.
„Ciocia Kizia" polka	. — „	50 „
„Pocieszny facet" galop	. — „	50 „
„Vivat semper wolny stan" polonez	„	80 „
„Rozmowa Gogątek" kadryle	. — „	64 „
„Na fali" polka mazurka	. — „	50 „

Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

Gwarancja lat 10.



Gwarancja lat 10.

FORTEPIANY

z renomowanych fabryk

Hamburgera i Hofbauera

we Wiedniu

ma na składzie i poleca

A. ALSCHER

ul. Akademicka l. 26.

(Strojenia i reperacje fortepianów i pianin przyjmują się.)